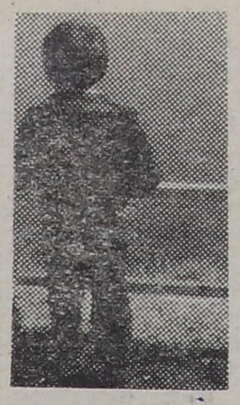


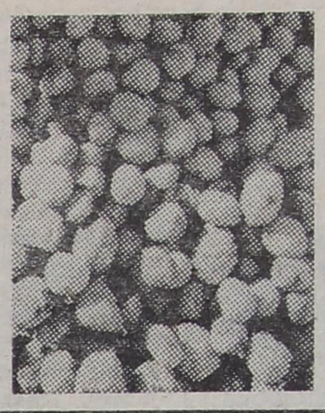
urodzony w złą godzinę 3



zbiornik nieszczęść 5



Szajna zza kulis 6



mister ziemniak 7



zwierciadło duszy 14

BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

16
(43)
KONTAKTY
26 IV 1981
Cena 4 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

BEZ PARDONU

Łomża jak na dłoni — po raz pierwszy

Zapowiadając publiczną rozmowę Czytelników i dziennikarzy z władzami Łomży, rozpoczynającą nasz cykl wywiadów z gospodarzami miast i gmin, nie przypuszczaliśmy, iż wywoła ona aż tak szeroki rezonans społeczny. Otrzymaliśmy blisko pół tysiąca pytań listownych i telefonicznych, dotyczących najważniejszych kwestii życia zbiorowego, jego niedomagań, i kłopotów codziennych mieszkańców.

Jeśli ktoś powątpiewał, czy Łomża jest miastem kochanym bądź choćby lubianym — mógł w pełni odczuć siłę lokalnego sentymentu. Pierwsze spotkanie z władzami miasta — w Cechu Rzemiosł Różnych — odbyło się przy pełnej sali i trwało prawie pięć godzin. Mimo to nie udało się wyczerpać nawet połowy zasygnalizowanych przez Czytelników problemów. Więc po tygodniu spotkaliśmy się ponownie na drugiej — też parogodzinnej — rundzie „Bez pardonu".

Nie możemy od razu wykorzystać całości tak bogatego materiału. Rozpoczynamy publikację jedynie skróconego zapisu pytań i odpowiedzi, przyrzekając Czytelnikom powrót do wszystkich poruszonych przez nich kwestii (w najbliższym czasie omówimy szeroko np. sytuację rolników w Łomży).

W pierwszym spotkaniu władze miasta reprezentowali: Jerzy Newelski, prezydent Łomży, Antoni Drozdowski, I sekretarz KM PZPR, Józef Leszczyński, przewodniczący MRN — wspierani przez ekspertów z Urzędu Miejskiego i Urzędu Wojewódzkiego; redakcję zaś — Stanisław Zagórski, Jerzy Brodziuk, Stanisław Tomaszek; naszymi ekspertami byli Czytelnicy. Wszystkim — i władzom miejskim, i uczestnikom spotkań, i autorom nadesłanych pytań — gorąco dziękujemy za pomoc.

CIĄG DALSZY NA STR. 8—9

cmokanie w łapę

STANISŁAW ZIELIŃSKI

Obecny dyrektor Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew", mgr inż. Tadeusz Sawicki, odsuwa sprawę Sierzputowskiego możliwie jak najdalej. Za pierwszym razem prosi o odłożenie jej do czasu, aż ucichnie strajkowe wrzenie wśród załogi, a gdy nie daję się zbyć, odmawia mi wyrażenia zgody na wejście do zakładu i porozmawiania z osobami, z którymi przed laty pracował Jan Sierzputowski. Jest przeciwny także poproszeniu ich do biurowca. Nijak nie może pojąć mojego tłumaczenia, że nie jestem warchołem. Innym razem argumentuje: — Naszym zakładem opiekuje się sekretarz KW, tow. Kazimierczuk. Zakazała mi wpuszczania na hale produkcyjne kogokolwiek, kto zakłóciłby, i tak już napiętą, atmosferę pracy. Pana wejście muszę więc z nią uzgodnić.

CIĄG DALSZY NA STR. 4—5

PODSTAWOWE ZMIANY w projekcie statutu PZPR, dokonane na plenarnym posiedzeniu Komisji Zjazdowej dotyczą: umocnienia fundamentalnej zasady PZPR jako partii kierującej się teorią marksizmu-leninizmu, stosującej się w sposób twórczy, opierającej się na leninowskich zasadach demokracji i dyscypliny, pozostającej wierną ideałom patriotyzmu i internacjonalizmu; dokonane zmiany w statucie mają na celu zdemokratyzowanie stosunków w partii oraz stworzenie gwarancji przestrzegania w życiu partii leninowskich zasad; do projektu Statutu wprowadzono trzy nowe rozdziały: Demokracja wewnątrzpartyjna, Centralizm demokratyczny, PZPR w systemie demokracji socjalistycznej, w których określono zadania partii w urzeczywistnianiu demokracji socjalistycznej w partii i państwie; określono demokratyczne zasady wyboru władz i delegatów, zapewniając ich tajność i nieograniczoność w zgłaszaniu kandydatów, obowiązki i uprawnienia instancji i organów wybieralnych wszystkich szczebli; zwiększono rangę instancji wybieralnych i podstawowych organizacji partyjnych w życiu partii; skonkretyzowano prawa i obowiązki członków partii niezależnie od zajmowanej funkcji, w tym prawa do głoszenia i obrony własnego zdania; zaostrzono kryteria przyjmowania do partii; wprowadzono zakaz powierzania jednej osobie kilku kierowniczych funkcji partyjnych, społecznych oraz ograniczenie liczby kadencji; podkreślono wagę jawności życia partyjnego, przepływu informacji oraz przeprowadzania konsultacji.

PROJEKT USTAWY O SAMORZĄDZIE rolniczym przedstawiło do społecznej dyskusji Prezydium Sejmu. Jej echa: „Jaki byłby zatem układ kompetencji i wzajemnych zależności między proponowanym modelem samorządu a gminnymi radami narodowymi? Czy kółka rolnicze podlegałyby w jakiś sposób radzie narodowej, a jeżeli tak, to w jaki? [...] Czy rada narodowa miałaby na przykład prawo wstrzymać wykonanie uchwał samorządu?" — mnożąc tego typu pytania Andrzej W. Wróblewski w artykule „Co to jest samorząd?" („Kultura" nr 16) stwierdza jednoznacznie: „Projekt nie daje odpowiedzi na żadne z nich." Natomiast na sympozjum naukowym (relacjonuje je „Życie Warszawy" nr 87, w artykule „Otworzyć drogi odnowie wsi..."), poświęconym roli samorządu rolniczego w odnowie społecznej i gospodarczej polskiej wsi, jedyny głos broniący projektu oficjalnego należał do jego autora, prof. dr hab. Bolesława Strużka. Wszyscy inni naukowcy i rolnicy projekt skrytykowali. Magister Banaszkiewicz powiedział m. in.: „Gdybyśmy funkcjonowanie samorządności wiejskiej porównali do ruchu drogowego, oficjalny projekt musielibyśmy nazwać próbą ujednolicenia wszystkich pojazdów i jednoznacznego zaprojektowania tras jazdy. Nasz projekt jest natomiast tylko ustawieniem znaków drogowych, żeby był jakiś porządek i nie dochodziło do kolizji."

ZAKOŃCZYŁ SIĘ długotrwały (32 dni) okupacyjny strajk rolników w Bydgoszczy. Ustał także krótkotrwały strajk okupacyjno-głodówkowy rolników Kujaw w Inowrocławiu. Po podpisaniu porozumienia między komisją rządową a przedstawicielami rolników wszystko wskazuje na to, że „Solidarność Wiejska" zostanie wreszcie zarejestrowana.

WEDŁUG NPSG, resort budownictwa powinien zbudować w tym roku 8.650 tys. metrów kwadratowych powierzchni użytkowej mieszkań. Załogi, korzystające z przyznanej im samodzielności uchwaliły jednak plan tylko na poziomie 7.958 tys. m kwadr. „Trybuna Ludu" (nr 91): „Pozornie lepsze rezultaty". „Kurier Polski" (nr 76) zaś tytułuje swój komentarz: „Budowlany bilans nie wypadł najgorzej". Jedynie „Życie Warszawy" (nr 89) zdecydowanie odcina się od jakiejkolwiek optymistycznej nuty, pisząc w tytule: „Dalszy regres budownictwa". Ale skoro resort budownictwa nie jest w stanie podać wielkości korekty planu, to co mówić o ujednoliceniu ocen dziennikarskich?

NIEZNANE DOTYCHCZAS fakty związane z forsowaniem decyzji o budowie Huty Katowice podaje Henryk Jezierski w artykule pt. „Polak, który potrafił... powiedzieć »NIE«" („Życie i Nowoczesność" nr 561). Jest nim Zbigniew Loreth, ekspert wyłączony swego czasu z wpływu na decyzje dotyczące Huty. Relacjonując sprawę opowiada on: „Zaczęto na mnie naskakiwać, organizować nagonkę. Lejczak, mój minister, wezwał mnie do siebie, żeby mnie zbeształ. Ja mu w odpowiedzi podsunąłem pięść pod nos: Panie, jeszcze pan będziesz spod Sandomierza wodę do huty ciągnął! Temu on się bardzo zdziwił. A teraz z Dunajca wodę ciągną, czyli jeszcze dalej, za kilkanaście mld złotych."

LEPIEJ Z PAPIERKIEM CZY BEZ? — Oficjalnie lansowanym trendem jest zatrudnianie absolwentów wyższych uczelni zgodnie z ich wyuczoną specjalnością. Stefan Bratkowski w „Małym Manifeście Purytańskim" („Życie Warszawy" nr 87) broni innych racji: „Liczy się nie papierek, ale rzeczywiste umiejętności. I odpowiedź na pytanie, czy jest ktoś, kto tych twoich umiejętności potrzebuje i zapłaci za ich właściwe wykorzystanie. Twoja sprawa, czy lubisz robić to, co robić umiesz." Mówiąc coś o prawie do pracy dla wszystkich, autor stwierdza: „Truizm? Ejże. Są u nas tacy, którzy mogą pracować, chcą pracować i potrafią zarobić swoją pracą, ale prawo pozwala ich jedynie wyzyskiwać. Tak, wprowadziliśmy dyskryminacyjny system eliminacji emerytów z rynku pracy. Uważam ten system za haniebny, bo niesprawiedliwy i zarazem głupi."

ZJEDNOCZENIE PRZEMYSŁU Cementowego, Wapiennego i Gipsowego w Sosnowcu w ostatnich miesiącach otrzymało 21 zmiennych decyzji w sprawie dostaw w br. niezbędnych do produkcji paliw: węgla i mazutu. 15 decyzji wpłynęło w I kwartale br. Ostatnia z nich nie jest również ostateczna. Ciekawe, czy po ustaleniu hierarchii ważności poszczególnych nakazów, uda się cementowniom „Kujawy" i „Nowiny II" odsunąć termin przerwania produkcji?

„TAK JEST węglem gospodarujemy źle" — informuje w tytule Tadeusz Podwysocki („Życie Warszawy" nr 89) i uzasadnia: „Tylko w jednym 1979 roku, wedle danych resortu, straty węgla w złożach ocenia się na pięćdziesiąt jeden milionów sześćset tysięcy ton. Na owe straty składają się niewybrane części pokładów przylegających do pól eksploatowanych oraz części pokładów pozostawionych w górotworze. „Żeby jednak nie pozbawić czytelników złudzeń autor dodaje: „straty złóż są niewspółmiernie wysokie w stosunku do marnotrawstawa w innych dziedzinach przemysłu." Optymistyczne.

DOBROWOLNIE WPŁACILIŚMY już 1.113.203.80 złotych do Skarbu Państwa kierując się szlachetną pobudką, wsparcia państwa i narodowej gospodarki. Jak informuje Ministerstwo Finansów, w przypadku nie uzyskania powszechnej społecznej akceptacji dla idei rozpisania pożyczki, bank porozumie się z ofiarodawcami co do wykorzystania dokonanych wpłat.

OKOŁO 43 miliardów złotych wpłacono na samochody. Ma nadzieje otrzymać je blisko 700 tysięcy osób. Największym powodzeniem cieszą się fiaty 126p i 125p. Najmniejszym: polonez i syrena. Czy w razie braku chętnych, zostaną one wystawione na licytację — nie wiadomo.

TRWA WYMIANA KADR. W ostatnich ośmiu miesiącach w instancjach partyjnych wymieniono blisko 50 osób. Z grona członków i zastępców w KC PZPR odwołano 13 i powołano 24 osoby. 55 osób nie pełni już funkcji sekretarzy KW PZPR.

„MARNOTRAWSTWO NA WYŚCIGI": w Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Lubczynie, woj. szczecińskie, padło ostatnio 48 proc. kurczaków i 31 proc. owiec (straty wyniosły ponad 3,5 miliona złotych). W SKR w Górze św. Małgorzaty w woj. płockim; w ostatnich latach dopuszczono tam do uszkodzenia i zdekompletowania sprzętu rolniczego za ponad 4 miliony złotych, a z dewastacji budynku „uzyskano" 6 milionów złotych („Kurier Polski" nr 74). Lista marnotrawców nie jest zamknięta.

PRAWIE 1000 kilometrów przejechały furgonetki śpiesząc z Innsbrucka do Warszawy z darami dla polskich dzieci. W sumie przywiozły 1,2 tony żywności.

POLSKA KRONIKA FILMOWA znika z ekranów kin — donosi „Kurier Polski" (nr 74), przytaczając jednocześnie mało przekonywujące wypowiedzi autorów tej decyzji. Stanowisko zespołu redakcyjnego PKF: „Czy decyzja Naczelnego Zarządu Kinematografii była jakoś wcześniej z Wami (PKF) konsultowana? — absolutnie nie; czy Polska Kronika Filmowa bezpowrotnie zginie z naszych ekranów? — Będziemy protestować, odwoływać się" — brzmi odpowiedź. Czy Kronika zdąży aby to zarejestrować na resztce taśmy filmowej?

„ROLNICTWO DYSPONUJE obecnie majątkiem w postaci maszyn, urządzeń i środków transportu o wartości około 300 mld zł. Składa się na to ponad 800 asortymentów, w tym z górą 300 importowanych z 30 krajów, głównie socjalistycznych. Już to daje pojęcie o skali problemów z częściami zamiennymi. Sprzęt będący w eksploatacji wymaga ich w ponad 80 tysiącach asortymentów. [...] Problem polega więc nie tyle na globalnym braku części, lecz deficycie niektórych. Rośnie on w przypadku 5—6 tys. pozycji, a w około 500 asortymentach stan zapasów jest wręcz zerowy." — wyjaśnia problemy z tym związane Cezary Rudziński („Trybuna Ludu" nr 88).

PO ZBADANIU wyników działalności gospodarczej 50 pegeerów okazało się, że tylko 10 nie potrzebuje żadnej dotacji do produkowanej przez siebie żywności. 20 najgorzej gospodarującym dopłacano 1,5 złotego do każdej złotówki wartości produktu końcowego. W nowym systemie ekonomicznym przewiduje się odejście od systemu dotacji. Trwający przez trzy lata deficyt traktowany ma być jako kredyt techniczny. Niemożność jego zmniejszenia może skłonić bank rolny do szczegółowej kontroli wydatków i następnie wnioskowania o zmianę kierownictwa.

zdarzenia



I SEKRETARZ KW PZPR WALDEMAR SZPALIŃSKI rozpoczął serię spotkań z aktywem robotniczym. Pierwsze z nich odbyło się w Grajewie (aktyw ZPW), następne w Łomżyńskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego. Najwięcej uwagi poświęcono: sytuacji w Partii po IX Plenum, odpowiedzialności i rozliczaniu winnych, przygotowaniom do wyborów w organizacjach i instancjach partyjnych. Wielu mówców wypowiadało się w sposób krytyczny o dotychczasowej działalności Biura Politycznego i Komitetu Centralnego, mając im za złe zbyt powolną realizację wniosków i żądań dołów partyjnych. Z dyskusji w „Narwi": ANATOLIUSZ MISZAK: — Zgłaszałem szereg zastrzeżeń pod adresem tematyki przeprowadzanych rozmów wewnątrzpartyjnych, wyszczególnionej w odpowiedniej ankiecie. Wątpliwości moje jeszcze się pogłębiły w czasie przeprowadzania takich rozmów. Podobne stanowisko cechuje większość towarzyszy. Uważam, że ze względu na sytuację w kraju, a także w samej partii, są one chyba niecelowe. Tu nie ma o czym mówić, bo nie słyszeliśmy jeszcze realnego programu partii, a w większości organizacji partyjnych jej członkowie wyrazili votum nieufności — podobnie zresztą jak i my dzisiaj — swoim komitetom, domagając się wyborów. Uważam, że rozmowy należy przeprowadzić po wyborach — z nowym składem, do którego wszyscy członkowie będą mieć zaufanie. CZESŁAW CYMER: — IX Plenum nie zrealizowało wszystkich żądań oddolnych. Komitet Centralny z rozpisaniem wyborów czekał bardzo długo, mimo że w wielu stały się one faktem; HENRYK FILIPIUK: — Dużo mówi się o zaopatrzeniu rynku, a jakoś w rolnictwie nie widać żadnych zmian na lepsze. Nie wiadomo, czy odnowa już tam jest czy jeszcze nie dotarła. Nadal słyszymy o tym, że wiele ziemi leży odłogiem i jest to ponoć ziemia, o którą dopominają się rolnicy. Myślę, że moglibyśmy pomóc łomżyńskiej wsi poprzez uruchomienie okresowych punktów usługowych naprawiających sprzęt rolniczy; MICHAŁ GAJOS: — Jak tow. Sekretarz mógł naraz pełnić cztery funkcje? Czy był w mocy sprostać zadaniom każdej z nich?; WALDEMAR SZPALIŃSKI: — Dla ścisłości, pełniłem więcej funkcji, niż cztery: I sekretarza, przewodniczącego WRN, posła na Sejm, przewodniczącego Wojewódzkiego Komitetu Obrony, przewodniczącego Zespołu ds. Samorządu Robotniczego i szeregu pomniejszych. Dlaczego aż tyle? Nie kierowałem się tutaj własnym wyborem, taka była konwencja.

DOCIERAJĄ DO NAS WIEŚCI od rolników, że klasyfikatorzy trzody chlewnej i bydła szarogęsią się na spędach niczym samodzielni, choć niezbyt zaradni władcy. Bo o przepisowym udziale w komisji klasyfikacyjnej zapomnieli już i prezesi geesów, i sekretarze komitetów gminnych, a naczelnicy w ogóle nie orientują się, komu do tych fachowych prac wypada się mieszać, a komu — nie. Przymykają więc oko, zasłaniając się brakiem orientacji. A fachowcy mierzą tak, by rolnikowi starczyło pieniędzy i na łapówkę. Ostatnio sygnały takie otrzymaliśmy m.in. z gminy Kołaki Kościelne.

NISKO CENIONY, przysłowiowy tani polski ziemniak, nieraz tu i ówdzie pogardzany — wskutek ubiegłorocznego nieurodzaju, uzyskał wreszcie należny szacunek i wartość w wysokości 990 złotych za kwintal, także w białostockiej Centrali Nasiennej. W ostatnim czasie przystąpiła ona do systematycznego skupu od rolników zapasów sadzeniaka, nadających się do uprawy tej cennej rośliny w bieżącym roku. Dotychczas, najlepsze wyniki w tej akcji notuje gmina Grajewo.

TRUDNO SOBIE wyobrazić sprawne bytowanie mieszkańców bez dobrych szlaków komunikacyjnych, łączących miejsce zamieszkania ze światem. Jednak naprawy dróg i ich budowa są nadal inwestycjami bardzo kosztownymi. Dobrym przykładem mogą być gminy: Kołaki Kościelne i Kulesze. Jedna, wykonała w czynie społecznym żwirówkę, druga zaś położyła na niej asfalt. Solidna bita nawierzchnia służy dziś z pożytkiem obu gminom, które znalazły wyjście z impasu, bez oglądania się na administracyjne granice.

WOJEWODA ŁOMŻYŃSKI zobowiązał placówki administracji państwowej do przeprowadzenia adaptacji i zagospodarowania budynków wznoszonych pierwotnie dla KW PZPR, a ostatnio przekazanych przez egzekutywę wojewódzkiej instancji partyjnej Zespołowi Przychodni Specjalistycznych. Projekt adaptacji przygotowuje Wojewódzka Dyrekcja Rozbudowy Miast i Osiedli. W pierwszej kolejności — takie słychać przynajmniej zapewnienia — przystosowany zostanie mniejszy budynek, który zajmie personel medyczny przychodni przy ulicy Armii Czerwonej i Wojewódzka Kolumna Transportu Sanitarnego.

Według lekarza wojewódzkiego Konstantego Znosko, warunkiem szybkiego postępu prac jest powrót na budowę dotychczasowego wykonawcy „Budopolu" Pisz. Jest to trudne, bowiem firma ta rozplanowała już swoje moce przerobowe na innych budowach. Na tym nie kończą się kłopoty. Dlatego szczególnie cenna wydaje się inicjatywa łomżyńskiej „Solidarności" powołania Społecznego Komitetu Adaptacji Budynków. Komitet ten stawia sobie za cel organizowanie pomocy przyśpieszającej robotę adaptacyjną. Łomżyńscy rzemieślnicy zaoferowali fachową pomoc w pracach wykończeniowych. Pomoc obiecał również Ordynariusz Diecezji Łomżyńskiej Mikołaj Sasinowski, który poczyni starania i dokona zakupu w krajach zachodnich aparatury specjalistycznej dla powstającego Zespołu Przychodni.

urodzony w złą godzinę

Polski ruch młodzieżowy przechodzi kolejne przeobrażenia. Powstają nowe organizacje. Jak przyjmują to działacze ZSMP? Z przewodniczącym ZW ZSMP w Łomży, Henrykiem Gryko, i wiceprzewodniczącym, Romanem Szmytem, rozmawiają Danuta i Aleksander Wroniszewscy.





— Jak się czuje ZSMP w dobie odnowy?

Henryk Gryko: — Na cóż, każda organizacja ma swoje wzloty i upadki. W ruchu młodzieżowym było ich wiele. O żywotności naszego ruchu stanowi przede wszystkim stawianie na dużą samodzielność kół, na możliwość wybierania takich form pracy, które najbardziej odpowiadają danemu środowisku. Tak było do tej pory i, mam nadzieję, będzie dalej.

— Więc nie czujecie, jako organizacja, potrzeby krytycznego spojrzenia na własną działalność?

H.G.: — Teraz wszyscy krytykują to, co było przed sierpniem. Ale chciałbym przypomnieć, że już II Zjazd ZSMP, chociaż od początku do końca reżyserowany, przyniósł wiele nowych spostrzeżeń i głosów, poruszył szereg problemów, o których mówi się otwarcie dopiero dzisiaj. Nie zapominajmy przy tym o czymś takim, jak siła przebicia, jasne określenie swojego miejsca w całym systemie politycznym kraju. Młodzież traktowana była do tej pory przedmiotowo.

— Ten ruch społeczny, który przerodził się w pewnym momencie w związek zawodowy, był i jest ruchem ludzi młodych, dwudziestopięcio-, trzydziestolatków; z pokolenia, jak już zdążono ich określić, buntu i protestu. Czy ten ferment wśród młodych dał się odczuć również w ramach organizacji?

Roman Szmyt: — Ruch młodzieżowy nie wypracował ani struktur, ani metod buntu. Nie wypracował i nie stosował. Myślę, że w ogóle organizacja, chociaż stanowi określoną formę nacisku na realizację interesów młodzieży, nie powinna tworzyć insytucjonalnych form protestu, jakim jest np. strajk. Zdarzało się jednak, że w ramach organizacji dochodziło do pewnych rozliczeń, aktywnych wystąpień. W Trzcianem np. młodzież doprowadziła do zmiany kierownictwa Gminnego Ośrodka Kultury. To miało już postać prawdziwej walki.

— Czy działalność Waszej organizacji została właściwie doceniona przez młodzież?

H.G.: — Każda działalność jest oceniana według efektów.

— A więc?

H.G.: — Nie można powiedzieć, że nie podjęliśmy w latach siedemdziesiątych żadnych spraw związanych z młodzieżą. To byłoby krzywdzące.

— Nikt nie zamierza podważać osiągnięć. Chodzi jedynie o pewne przeciętne, statystyczne odczucie.

H.G.: — Na pewno organizacja mogła załatwić więcej.

— Więc dlaczego nie było więcej, skoro mieliście takiego patrona.

H.G.: — Jakiego patrona?

— PZPR.

H.G.: — Przecież nie w patronie rzecz. Najważniejsze, jak to ideowe przywództwo realizowane jest w praktyce.

— Nam chodzi nie tyle o ideowe przywództwo, co raczej o jakąś bardziej wymierną pomoc.

H.G.: — Fakt, że może tej pomocy było nieraz za dużo. Stąd teraz te uwagi o prowadzeniu za rączkę, komenderowaniu. W wielu przypadkach jest to w zasadzie racja, ale nie można uogólniać.

— Obruszył się Pan na patronat PZPR. Jak zatem skomentuje Pan stwierdzenie tow. Kazimierza Piotrowskiego na ostatniej Konferencji Środowisk Młodzieży Robotniczej, że partia nie zamierza zrezygnować z politycznego i ideologicznego oddziaływania na ZSMP?

H.G.: — Jest to przede wszystkim sprawa tego, jak ZSMP określi się na swoim III Nadzwyczajnym Zjeździe. W naszym statucie napisano: *„PZPR jako awangarda klasy robotniczej wszystkich postępowych sił wyraża swoim pragnieniem obiektywne interesy narodu. Możliwość spełnienia naszych powinności widzimy w ideowej i politycznej więzi z partią"*. Za tymi słowami kryje się idea, że jako organizacja młodzieżowa będziemy starali się pomagać partii.

— A czy nie oznacza przypadkiem chęci ukrycia się pod wygodnym płaszczykiem ochronnym?

H.G.: — Myślę, że każda organizacja społeczna musi jasno i odważnie przedstawić swoje poglądy. Również ZSMP. Dotychczas zdarzyło się nam już mieć na pewne sprawy różne zdania.

— Czy wygłaszane przez niektórych aktywistów ZSMP opinie o otwierających się możliwościach wpływania na ważne decyzje władz nie brzmią zbyt optymistycznie?

H.G.: — Uważam, że nie. Organizacje młodzieżowe muszą być inaczej niż dotychczas ustawione w systemie politycznym. Uwzględniły to też tezy PZPR na IX Zjazd.

— Jakie są gwarancje, że młodzież znajdzie to swoje miejsce?

H.G.: — Nie sądzę, żeby partia popełniła znów te same błędy.

— Czy podział ruchu młodzieżowego jest jego siłą, czy słabością?

R.Sz.: — Ten pluralizm dopiero się zaczyna. Spodziewamy się, że może dojść do zmiany charakteru organizacji, że będą to zrzeszenia konkretnych grup, zainteresowanych tylko daną problematyką. Obecny model organizacyjny na pewno się zmieni.

— Uważa Pan to za proces pozytywny czy negatywny?

R.Sz.: — Naturalny.

— Jak należy w takim razie komentować dość powszechnie powtarzaną opinię, że Zarząd Wojewódzki ZSMP w Łomży usiłuje przeszkodzić w narodzinach ZMW?

H.G.: — Wprawdzie jeszcze nie współdziałamy z nimi, bo formalnie organizacja nie powstała, ale też nie przeszkadzamy. Wiemy tylko tyle, że powstał 7-osobowy Komitet Tymczasowy, złożony z członków ZSMP, którzy się od nas odłączyli. Ja sam jestem bardzo uczuciowo związany z ZMW, bo z niego wyrosłem, ale pozostaję przy swojej organizacji. Mogę mu tylko życzyć, żeby podjął piękne tradycje.

R.Sz.: — Trudno też od nas wymagać, żebyśmy czynnie włączyli się do tworzenia organizacji poniekąd konkurencyjnej.

H.G.: — ZMW powstał z inicjatywy członków PZPR, nie naszej ani ZSL-u. Mają bardzo dobry program, zbieżny w wielu punktach z naszym, w innych — poruszający problemy zupełnie przez nas nie eksploatowane.

— Czy przewidujecie, że koła ZMW powstaną tylko tam, gdzie nie ma kół ZSMP?

R. Sz.: — Bardzo często ZMW powstaje na bazie kół ZSMP. Być może niektóre grupy naszych aktywistów protestowały przeciw temu, bo były takie sytuacje, że rozbijały się one na dwa koła.

H.G.: — Ale nie było i nie będzie takich przypadków, żeby ktoś z nas jeździł do tych kół i mówił: „Coście zrobili najlepszego?!"

— Czy nie uważacie, że powstanie ZMW i ZMD jest reakcją na wszystkoizm i uniwersalizm ZSMP?

H.G.: — W naszym związku powinniśmy iść na bardzo daleką autonomię grup młodzieży szkolnej, robotniczej i wiejskiej. Jednocześnie nie powinniśmy bać się kolosa. Integracja pomoże zrozumieć problemy innych środowisk, zbliży je do siebie. Teraz np. pomoże w załagodzeniu pewnych napięć między miastem a wsią. Duża autonomia środowisk może zapewnić lepsze dostosowanie programu i form działania. Dzięki temu organizacja jako taka będzie lubiana i szanowana. To, z kolei, przyczyni się do tworzenia tradycji. Nie zapominajmy, że w dużym stopniu właśnie dzięki niej reaktywowało się ZMW.

— W tej chwili jednak jesteście organizacją nielubianą i dość powszechnie krytykowaną.

R.Sz.: — My powstaliśmy w najgorszym momencie, w roku 1976, kiedy bardzo mocno zaczęły narastać konflikty społeczne. Organizacja nie była na tyle silna, żeby przeciwdziałać ich skutkom. I jeszcze jedna sprawa, którą zrozumieliśmy dopiero teraz. Przyjęliśmy za swój program sumę programów ZMS, ZSMW i SZMW, tworząc z nich konglomerat bardzo niespójny. Wtedy wydawało się nam, że będzie go podtrzymywać fakt pielęgnowania tradycji. Niektórzy zarzucają nam, że dopiero teraz występujemy z postulatami. Myśmy prezentowali je od roku 1976, ale przedtem przechodziły nie zauważone. Nawet tak ważne, jak sprawa klubu młodzieżowego w Łomży.

H.G.: — Podobnie z problemem starzenia się wsi. Wszyscy to stwierdzają, a my żądamy wyciągnięcia wniosków.

— Żądania słuszne. Ale co zrobiliście konkretnie?

H.G.: — Pomogliśmy w załatwieniu maszyn dla 80 gospodarstw młodych chłopów po technikum.

— To są półśrodki, jałmużna dla wybranych. Trzeba do tego podejść systemowo.

R.Sz.: — Decyzja zależy wyłącznie do władz centralnych.

— Na Konferencji Środowisk Młodzieży Robotniczej zaproponowaliście nowy program działania. W jakich punktach jest on faktycznie nowy?

H.G.: — Wyeksponowaliśmy mocno sprawy młodych pracowników, co zostanie w pełni pokazane w programie związków zawodowych. Jest wielu młodych inżynierów, którzy są zatrudniani niezgodnie z kwalifikacjami.

— Ale prawidłowe wykorzystanie kadry zależy nie tyle od interwencji organizacji młodzieżowych czy związków zawodowych, co od reformy gospodarczej.

H.G.: — Na pewno. Ale chcemy mieć wpływ na system awansów — pionowych i poziomych. Są również sprawy młodych rodzin.

R.Sz.: — Inną nowością jest zrezygnowanie z takich form szkolenia, jak szkoły aktywu.

— Macie też zamiar rozwijać socjalistyczną moralność. W jaki sposób?

H.G.: — W dyskusjach, na seminariach.

— Teoria moralności socjalistycznej nie jest zbyt dobrze rozpracowana.

H.G.: — Nie próbujemy określać jakiegoś wzorca. Możemy co najwyżej dążyć do pewnych, powszechnie uznanych, ideałów.

— Ale w jaki sposób? Mówicie: dyskusje, seminaria. Czy nie za wiele programowości? Dlaczego nie pójść na spontaniczność, sytuacyjność? Reagować na konkretne wykroczenia, nieprawidłowe zachowania, a nie rozstrząsać teoretycznie ewentualne sytuacje?

R.Sz.: — Uważam, że rolą organizacji jest przygotowanie koła do pewnej dyskusji. Ale, oczywiście, bez narzucania konkretnych poglądów i opinii.

H.G.: — Poza tym należy pamiętać, że organizacja jest tylko jednym z elementów wychowania, wcale nie najważniejszym.

— Czasem nawet bardzo słuszne i piękne idee nie trafiają, jeżeli przekazywane są w nieodpowiedniej formie. Nieprzyjemnie zaskoczył nas punkt: „Jedną z form działania jest nadawanie coraz większej rangi obrzędowości świeckiej, m.in. poprzez pasowanie na pracownika zawodu, pożegnanie poborowych do wojska, spotkanie z rodzinami czołowego aktywu ZSMP" itd. Od kilku lat krąży po Polsce podręcznik obrzędowości świeckiej, który dokładnie instruuje, w jaki sposób ustawić stół prezydialny, kwiaty, uczestników imprezy; radzi, kto, gdzie, jak i kiedy mówi. Czy tak zamierzacie to robić?

H.G.: — Nie posługujemy się tymi instrukcjami, ale uważamy, że pewne rzeczy są bardzo istotne. Weźmy choćby sytuację, kiedy dziewczyny kończą liceum medyczne. Wręczenie świadectw w odpowiedniej oprawie to już pasowanie do zawodu.

R.Sz.: — Musimy tylko dbać o to, żeby nie było formalizmu.

— Dość powszechnym zarzutem pod adresem etatowych działaczy ZSMP był formalizm i biurokratyzm. Czy czujecie, że zarzut ten w jakimś stopniu Was też dotyczy?

H.G.: — Nie ulega wątpliwości.

— Co czyni z młodych aktywistów biurokratów?

R.Sz.: — Jest to nieuniknione w kontakcie z partnerami, którzy nas do tego poniekąd zmuszają.

H.G.: — W jaki sposób mielibyśmy komuś udowodnić, że dobrze pracujemy społecznie, jeżeli nie posiadalibyśmy stosownej dokumentacji?

— Której sporządzanie było równie czasochłonne, jak owa praca społeczna?

H.G.: — Niemal.

— Jakie słabe strony widzicie u siebie jako u działaczy młodzieżowych?

H.G.: — Myślę, że zbyt rzadki kontakt z terenem. Tak czuję, i to najłatwiej nam zarzucić. A po drugie — nie zawsze pełną konsekwencję, w doprowadzeniu niektórych spraw do końca.

R.Sz.: — Nie załatwiłem wszystkich spraw z dziedziny kultury, którą się zajmuję. Może zabrakło mi agresywności i upartości?

— A jakie zalety działania dostrzegacie u siebie?

R.Sz.: — Umiejętność doboru partnerów i rozmawiania z nimi.

H.G.: — Ja mogę powiedzieć np., że staram się wprowadzić wśród swoich pracowników dobrą atmosferę. Ale ktoś mi odpowie na to: „Jaka tam atmosfera?!" Mogę wiele robić, żeby tworzyć te więzi emocjonalne, a ktoś powie: „Wręcz przeciwnie, wiele działań miał Gryko takich, które to wszystko rozbijały".

— Czy czujecie, że macie jeszcze tyle energii, by po tych wszystkich zmianach prowadzić organizację dalej?

H.G.: — Najwygodniej byłoby powiedzieć: „Ja dziękuję za to wszystko. Przyjdą nowi, niech się martwią".

R. Sz.: — Niedawno, na naradzie w KW, powiedziałem, że ci, którzy czują się zmęczeni walką polityczną, powinni odejść. Mógłbym to analogicznie przenieść na własne podwórko. Zmęczenie u mnie wynika z szarpaniny, z konieczności wybierania między emocją a obiektywnymi warunkami. Najgorsza jest niemoc, która wszystko paraliżuje.

H.G.: — Wiele z propozycji młodzieżowych jest słusznych, potrzebnych. Ale my tu, w środku tego koła, wiemy, że nie da się ich zrealizować, bo znamy pewne mechanizmy. Tworzymy więc nieraz propozycje nieco odmienne, wynikające z odmienności naszego spojrzenia.

— W Waszych słowach przejawia się albo zbyt duże doświadczenie, albo znużenie. Podobno działacz organizacji młodzieżowej szybko dojrzewa. A może prędzej się starzeje?

H.G.: — Kiedy człowiek jest zmuszony obracać się w określonych schematach, bardzo szybko popada w rutynę; gdy wie, że nie może przeskoczyć obiektywnych trudności, a mimo to musi choćby podskakiwać, męczyć się.

— Pesymistyczna wizja dla działacza, który albo się zmęczy, albo stanie rutyniarzem...

— H.G.: — W obydwu przypadkach trzeba wtedy odejść.

POSTAWY

kontakty kontaktów

Podobno narzekania na miejską komunikację zaczęły się w tych samych czasach, gdy na ulicy pojawił się pierwszy „czerwoniak". Narzekają wszyscy: pasażerowie, współużytkownicy dróg, pisze o tym prasa. Jednak, jak się okazuje, „nie ma mocnych". Zdaję sobie sprawę, że i mój list nie spowoduje radykalnych zmian na lepsze. Ale jeżeli zmusi do myślenia choćby tylko kilku Panów Kierowców czy Panów Kontrolerów, to istnieje pewna niewielka szansa, że kiedyś ktoś zafascynowany kulturalną jazdą, kulturalnym zachowaniem i punktualnością napisze piękny hymn pochwalny „Czerwoniak".

Otóż dziś, jak codziennie, przepuściłem panie, starszych panów i wsiadłem do autobusu ZKM. Razem ze mną (na tym samym przystanku) wsiadło dwóch Panów Kontrolerów. Zajęli oni służbowe miejsca stojące obok kierowcy (za co normalni pasażerowie słyszą z zasady kilka „miłych" słów za przesłanianie widoczności). Autobus ruszył. Wszystko przebiegało normalnie. Ludzie wsiadali, wysiadali, komuś przed nosem zamknęły się drzwi. Na przystanku koło POM-u jakaś starsza pani, zorientowawszy się, że tym autobusem nie dojedzie do Konarzyc, krzyknęła, gdy autobus już ruszył: — Przepraszam, chciałabym już wysiąść.

Autobus stanął. Drzwi się otworzyły. Ale kobieta nie wysiadła.

— Ma pani bilet? — spytał Pan Kontroler.

— Mam — odpowiedziała pani.

— A skąd pani go ma? — spytał Pan Kontroler.

— Kupiłam — odpowiedziała pani.

— Pani pojedzie do końca — powiedział Pan Kontroler — rozliczymy panią.

I autobus ruszył. Nie pomogły przysięgi kobiety, że bilet kupiła. Nie pomogły zapewnienia pasażerów. Kobieta się trzęsła, płakała, krzyczała, prosiła, a autobus jechał.

Przystanek koło Przedsiębiorstwa Przemysłu Spożywczego jest moim docelowym. Moim i moich trzech koleżanek z pracy. Nie chcąc zostawiać samej roztrzęsionej pasażerki podjęliśmy próbę „uwolnienia". W pewnym momencie zza kierownicy wychylił się Pan Kierowca.

— A pan co za dygnitarz — krzyknął.

Zastosował jakiś nie znany mi „chwyt za kołnierz" i — nie wiem nawet, kiedy — znalazłem się przed autobusem. Skończył się dla mnie „poranek z czerwoniakiem". On ruszył, a ja spojrzałem: linia „1", nr rejestracyjny LOA 611 E. Znów spóźniłem się do pracy (8.20).

Dalszy przebieg wydarzeń znam z ust jednej z koleżanek, która pozostała w autobusie.

Do końcowego przystanku wszystko było jak przedtem. Kobieta się trzęsła, płakała, krzyczała, prosiła, a autobus jechał. Tam wszyscy wysiedli. Pozostała jedynie nieszczęsna pasażerka, moja koleżanka, Pan Kontroler (jeden wysiadł przy PPS-ie) i Pan Kierowca. Koleżanka podjęła ponowną próbę obrony pasażerki, lecz po zastosowaniu przez Pana Kierowcę tego samego chwytu co wobec mnie, również, nie wiedząc kiedy, znalazła się przed autobusem. Płacz kobiety zamienił się w histerię. Koleżanka, korzystając z telefonu w Fabryce Mebli, próbowała poinformować o zajściu dyrekcję ZKM, ale bez skutku (widocznie wszyscy skutecznie pracowali w terenie). W międzyczasie kobieta, po usłyszeniu kilku „miłych" słów na swój temat i zastosowaniu znanego już chwytu, stała przed autobusem, płacząc. Sprawą zainteresowała się Komenda Miejska MO. Po kilku minutach podjechał radiowóz milicyjny. Pan Kierowca podyktował swoje dane personalne. Pan Kontroler, nie wiadomo kiedy, „ulotnił się". Wszystko skończyło się fajnie.

JÓZEF RABIEL
pasażer

Dymanie cmokanie i jęki



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

Dzwonię do KW. Słyszę odpowiedź: — Nigdy nie wydawałam takiej decyzji.

Następnie wykręcam numer dyrektora i pytam, czy ma już odpowiedź sekretarza KW. Podtrzymuje swoje kłamstwo: — Towarzyszka sekretarz odradza panu zajęcie się tym tematem. Może pozwoli później, aż to się wszystko uspokoi.

Wreszcie uzgadniamy termin. Przyjeżdżam na spotkanie.

— Proszę pana — zaczyna pierwszy rozmowę — mimo wszystko radziłbym panu zająć się innym tematem, powiedzmy, maszynami z importu w łomżyńskim przemyśle bawełnianym. Mój zastępca do spraw technicznych dysponuje dokładnymi danymi, które dotyczą naszego zakładu.

Okazuję zainteresowanie, po czym proszę o powrót do tematu Sierzputowskiego.

— Dowiedziałem się, kim on był — mówi dyrektor. — To stara historia. Pracował u nas kilka lat temu, gdy zakładami kierował kto inny. Sierzputowski ma złą opinię. Podobno wulgarnie odnosił się do otoczenia, a szczególnie członków partii. Wyśmiewał ich, obrzucał wyzwiskami. Raz, za kradzież kilku metrów tkaniny, wyrzucono go z pracy, po trzech miesiącach znów przyjęto. Po drugim wyrzuceniu odwoływał się do Komitetu, dyrekcji, różnych instancji sądowych, i wszędzie sprawę przegrywał. Żądał zmiany negatywnej o nim opinii i ponownego przyjęcia do pracy. Zakład nie ustąpił. Uważam, że mój poprzednik nie popełnił błędu usuwając takiego człowieka z załogi raz na zawsze.

Dzwoni telefon. Dyrektor obchodzi swoje duże, lśniące biurko, podnosi słuchawkę.

— No, widzisz — mówi po słowach powitania — ja miałem nosa. Tu do mnie załoga właściwie nic nie ma, bo jestem nowy. Na taczce więc chyba nie wywiezie. Trzeba wiedzieć, kiedy zmieniać pracę.

Sekretarz Komitetu Zakładowego, Jan Walęcki, potwierdza opinię dyrektora, choć samo nazwisko pracownika przypomina sobie z niemałym trudem.

— Był u nas chyba taki. Coś tam sekretarz Rosińska o nim kiedyś mówiła. Wydaje mi się, że zasłużył na to, co go spotkało.

Nikt też nie pamięta Sierzputowskiego w Radzie Zakładowej. Zapomnieli? Nawet jeśli dokonał takiego wielkiego przestępstwa? Przewodnicząca podaje mi obiegową opinię: — To chyba o tego chodzi, który zadarł z sekretarz Rosińską? On włóczy się po sądach. Powołuje coraz to nowych świadków. Godzi adwokatów.



Odchodzę stąd z refleksją, że byłych pracowników zapomina się szybciej niż imieniny koleżanki.



Sierzputowski do zakładu zwracał się wielokrotnie, ale do kogo trafił, zewsząd odprawiany był z jednakowym kwitkiem. Nie znalazł sprawiedliwości ani w Radzie Zakładowej, ani w Komitecie, ani w dyrekcji, która pod negatywną o nim opinią przystawiła swoją pieczęć.

— Wszyscy jakby się zmówili — powiada z nie ukrywaną goryczą Jan Sierzputowski. — Prawie z dnia na dzień wyrzucili mnie na bruk. Pytam się, za co? Tylko dlatego, że sekretarz Rosińska miała w moim wydziale koleżankę Nowacką i chciała, żebym podwoził jej do wykończenia najlepszą tkaninę. Starałem się każdej pracownicy sprawiedliwie dostarczać jednakową porcję. Ale to się nie podobało Rosińskiej, więc się przemówiliśmy, a potem mnie o wulgarność oskarżyła, choć sama klęła nie gorzej od szewca. Mówię panu: takie oskarżenie to nie jest robota ani sekretarza, ani członka partii, lecz zwyczajnej babskiej złośliwości.

Po kilku tygodniach od naszych rozmów Sierzputowski na nowo odzyskuje optymizm. Zwraca się o pomoc do „Solidarności".

— Jak to dobrze, że w kraju nastąpiła ta odnowa — mówi. — Teraz chyba doczekam się sprawiedliwości.

W małym, kilkumetrowym pomieszczeniu zakładowej „Solidarności" debatują dwaj jej czołowi przywódcy, Wojciech Kurelski i Jan Łukasik. Postanawiają dogłębnie zbadać zażalenie Sierzputowskiego. Jest także pokrzywdzony. Właściwie spór toczy się już pomiędzy członkami zarządu nowego związku a nim. Napisał w podaniu, że wskutek utraty pracy jego dzieci z głodu umierają, bo bieda w domu aż piszczy, więc przedstawiciele „Solidarności" wypożyczyli z dyrekcji samochód i sprawdzili.

Sierzputowski mieszka na skraju wsi Chojny Stare. Zagroda jego składa się z pięknych murowanych zabudowań, położonych w sadzie. Na podwórku — własne maszyny rolnicze. W domu żona, czworo dzieci i... wszechobecny bałagan. Ścianom przydałoby się już malowanie.

Wojciech Kurelski bezpośrednio wytyka mu kłamstwo: — Przychodzi pan do nas z prośbą o pomoc i od razu oszukuje.

— Ja pana znam — strzela Sierzputowski. — Niech pan od razu mi powie, że chcecie mnie przygnębić jeszcze bardziej.

Gubi się w swoich wypowiedziach. W kółko powtarza te same zdania. Jest coraz bardziej zdenerwowany. Dlaczego nie przyzna się, że to podanie pisał mu Czupryński, znany „specjalista" od przejaskrawień. Obstaje przy swoim: — A bo mnie w tym zakładzie skrzywdzili. Dobrze pracowałem, niech mistrz Kapusta powie. Wyrzucili mnie tylko dlatego, że nie podobałem się sekretarzowi partii.

Andrzej Kapusta potwierdza zdanie swego byłego pracownika: — Nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń. Nigdy się nie spóźnił. Rzetelnie wykonywał wszystkie polecenia. Lubił porządek.

Wówczas jednak nikt nie prosił mistrza o wypowiedź. Po prostu: przyszedł pewnego dnia do zakładu, a Sierzputowskiego już nie było.

Jadwiga Nowacka zarzuca mu publiczne obrażenie: — Nazwał mnie „k... c...". K... mogę być dla swego męża, ale nie dla tego pana. Zawsze, gdy koło mnie przechodził, mamrotał coś pod nosem. Na pewno każde słowo było pod moim adresem. Na stół podawał mi najgorszą tkaninę. Istotnie, prosiłam sekretarz Rosińską o interwencję. Jak się odnosił do innych? — powtarza moje pytanie. — Bez zastrzeżeń. Nikogo nie bił. Nikomu nie ubliżał. Nie wiem, co mu się stało, że tak mnie wtedy zaatakował.

Sierzputowski absolutnie nie przyznaje się do tej sytuacji: — Co pani tu będzie gadać. Przecież ja wcale tak nie mówiłem.

Trwa spór o termin, o godzinę. Do rozmowy wtrąca się działacz „Solidarności", Andrzej Sienkiewicz, kierowca z zawodu: — Dlaczego zakład dyscyplinarnie zwolnił pracownika za ubliżenie komuś? Przecież w takim przypadku jest zupełnie inna procedura. Sprawa ta kwalifikuje się do sądu cywilnego czy karnego nawet. Jeśli ubliżył pani jako członkowi partii, to pani powinna mu za to zrobić sprawę cywilną. Tak ja to rozumiem. Ale dlaczego od razu dyscyplinarnie zwalniać człowieka, tym bardziej że pracował bez zastrzeżeń?

Sekretarz OOP, Wanda Rosińska, twierdzi, że namawiała Sierzputowskiego do przeproszenia Nowackiej. Ponoć odparł jej: — Nie widzę takiej potrzeby.

Ma zdanie o Sierzputowskim: — Jest uparty, zawzięty. No, powiedzmy, że ja komuś ubliżę, to moim świętym obowiązkiem jest przeprosić tego człowieka. Było mu bardzo ciężko to uczynić.

Sierzputowski krzyczy coraz głośniej: — Ludzie, no, udowodnijcie, że ja winien! Za co ją miałem przepraszać? Dlaczego nie dopuścicie mnie do obrony? Nie zgadzam się na takie dalsze rozstrzyganie mojej sprawy. Ja tu muszę mieć radcę prawnego, bo inaczej znowu mnie skrzywdzicie. Już widzę, co tu się święci. Jak w ten sposób mogliście postąpić? Ani brygadzista, ani mistrz, ani kierownik wydziału, nie wiedzieli, za co zostałem zwolniony, i to bez upomnienia, bez nagany. Od razu wybraliście najostrzejszy środek!

Szybko upada nadzieja pokładana przez Sierzputowskiego w „Solidarności". Podczas ponownego spotkania Wojciech Kurelski mówi mi z rezygnacją: — To krętacz. Sam nie wie, czego chce. Jest typowym pieniaczem, charakterystycznym dla tego regionu. Zresztą, był pan na rozstrzyganiu przez nas jego sprawy. W tej chwili zalicza „Solidarność" do swoich największych wrogów. Zwracał się do MKZ-tu „Mazowsze". Też nic nie wskórał. Finał sprawy jest taki, że udowodniliśmy mu kilka zarzutów, m.in. fakt, iż chciał przed nami ukryć wielkość swojej gospodarki. Szybko zmienia swoje stanowisko i nie jest w wypowiedziach konsekwentny. Zarzuca mu się także posiadanie dostatecznej ilości gotówki, skoro tak długo się procesuje. A poza tym, cóż, znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że rzeczywiście ubliżył Nowackiej. Uważam więc sprawę Sierzputowskiego dla zakładu za zamkniętą. Na drodze sądowej wykorzystał już chy-

ba wszystkie możliwości, do najwyższych instancji włącznie.

To prawda. Sierzputowski ma swoje za uszami. Mówi nieszczerze. Prędzej dopatrzy się w człowieku (nawet w tym, który chce mu pomóc) wroga niż sprzymierzeńca, wskutek czego trudno mu dla swojej sprawy znaleźć sojuszników. Szybko traci zaufanie, bo jest do tego stopnia niepewny, że nie wie, czy to, co mówi, nie obróci się przeciwko niemu. Czyż można mu się dziwić, jeśli przez dwa lata daremnie szukał sprawiedliwości? Zaczął więc chwytać się i kłamstw, a kto mu je udowodnił (bo dobrze kłamać nie umie), z miejsca zdobywał miano wroga.

Dziś mówi o działaczach „Solidarności" zakładowej: — Są tacy sami, jak ci, do których dwa lata temu zwracałem się z prośbą o pomoc i nie słyszeli mnie. Wszyscy znają się bardzo dobrze. Nie mam już co liczyć na „Solidarność". Tylko pięknie mówią: odnowa, odnowa, a Sierzputowskiego odsyłają po staremu.

Nadal jest pokrzywdzony, samotny, cierpiący. Nadal chciałby prosić świadków, angażować adwokatów i uprawiać panu Czupryńskiemu działkę za pisanie podań. Myślę, że gdyby pozbył się wsparcia tego „tęgiego umysłu", któremu bardziej ufa niż swojemu rozsądkowi, wówczas prostotą, prawdomównością i szczerym stosunkiem do ludzi zyskałby więcej, może również i odwagę wypowiadania słowa: „przepraszam".



Nie zmienia to jednak postaci rzeczy. Uważam, że dyscyplinarne zwolnienie go z pracy za dwa obraźliwe słowa i mruczenie pod nosem jest strzałem do prostego człowieka (który nie zawsze wie, co mówi) z broni ciężkiego kalibru. Organizacja partyjna, której przewodziła sekretarz Wanda Rosińska, ułatwiła sobie zadanie. Nie przyszła trudnemu człowiekowi z pomocą. Jeżeli bezpartyjny Sierzputowski okazał się za mało rozsądny, to członek partii Jadwiga Nowacka mogła się przecież okazać człowiekiem dojrzalszym. Ale się nie okazała.

Uzbierał się już Sierzputowskiemu cały plik sądowych dokumentów. Terenowa Komisja Odwoławcza do Spraw Pracy w Łomży w składzie: Stanisław Orłowski, Halina Seskiewicz (poprzednio radca prawny zakładu, a obecnie „Solidarności") i Dominika Brzózko, oświadczyła w dniu 25 września 1978 roku: *„Podstawowym obowiązkiem pracownika jest między innymi przejawianie koleżeńskiego stosunku do współtowarzyszy pracy. Wnioskodawca w tej mierze nie zastosował się do wymogu tego obowiązku. Z zeznań świadków W. Rosińskiej, B. Malinowskiej, J. Nowackiej wynika, że wnioskodawca w miesiącu marcu, kwietniu i maju 1978 roku obrażał J. Nowacką w związku z jej przynależnością do partii, a kiedy ta poskarżyła się sekretarzowi POP i na ten temat była z nim przeprowadzona rozmowa, wnioskodawca również obraził godność osobistą J. Nowackiej, podkreślając także jej przynależność do partii. Tego rodzaju zachowanie się wnioskodawcy miało miejsce na terenie zakładu pracy przy całej załodze".*

Odwoływał się do Okręgowego Sądu Pracy i Ubezpieczeń Społecznych w Białymstoku. Otrzymał odpowiedź, z której dowiedział się m.in.: *„Jak wynika z akt osobowych wnioskodawcy, pozwany zakład pracy, po uprzednim zasięgnięciu opinii Rady Zakładowej, rozwiązał umowę o pracę z wnioskodawcą bez wypowiedzenia pismem z dnia 12 maja 1978 roku z powodu ciężkiego naruszenia podstawowego obowiązku pracowniczego przez wnioskodawcę, a mianowicie nieprzestrzegania zasad współżycia społecznego w ten sposób, że publicznie w zakładzie pracy ubliżał pracownicy Jadwidze Nowackiej w dniu 21 kwietnia 1978 roku wypowiadając słowa: „c... k...".*"

Pisał też do Okręgowego Sądu Ubezpieczeń Społecznych i Sądu Najwyższego, skąd 9 sierpnia 1979 r. otrzymał uzasadnienie wyniku poprzedniego procesu: *„Wyrok odpowiada prawu, gdyż ustalenia faktyczne, na podstawie których został wydany, znajdują oparcie w zeznaniach świadków, ocenionych przez Terenową Komisję Odwoławczą do Spraw Pracy w Łomży i przez wymieniony sąd, w ramach przysługującego tym organom uprawnienia, oceny wiarygodności i mocy dowodów".*

Skargi Sierzputowskiego trafiły też do Komitetu Centralnego i Najwyższej Izby Kontroli. Dnia 16 stycznia 1979 roku odpowiedziała mu Centralna Rada Związków Zawodowych: *„[...] wyrok nie narusza prawa ani interesu PRL, a więc wnoszenie rewizji nadzwyczajnej byłoby nieuzasadnione".* Podpisał: kierownik Działu Ustawodawstwa Pracy, Albin Miroszewski. Zaś 15 marca 1980 roku Prokuratura Wojewódzka w Łomży oświadczyła Janowi Sierzputowskiemu: *„Należy podkreślić, że Obywatel składał wniosek do CRZZ o wniesienie rewizji nadzwyczajnej, który nie został uwzględniony. Wobec powyższego nie ma możliwości podważania prawidłowo zapadłego orzeczenia".*

Teodor Serafiński, mieszkaniec wsi Chojny Stare, wspomina Sierzputowskiego z pracy w zakładzie: — Mistrz Święch zawsze go chwalił. Naraził się tylko Rosińskiej. Ona i mnie kiedyś dała się we znaki. Wyszedłem za swoją potrzebą, potrwało to pięć, może dziesięć minut, a ona zaraz do mnie wyskoczyła z gębą, czemu tak długo nie pracuję. Więc ja jej na to: „Szczać poszedłem". Wzywał mnie za to kierownik i musiałem się tłumaczyć. Mówiliśmy Sierzputowskiemu: „Weź, ćmoknij tę Nowacką w łapę i będzie spokój". Ale on uniósł się honorem.

Sąsiad Sierzputowskiego, Jan Chojnowski, nazywa go dobrym gospodarzem. — Ma ponad osiem hektarów ziemi — mówi — a teraz trzy chce dokupić. Zgromadził wszystkie maszyny rolnicze. Posiada swój ciągnik. O co do niego się zwrócić, zawsze chętnie pożyczy. Nigdy nie słyszałem, żeby z kimś się kłócił lub komuś ubliżał. Nie, to do niego nawet nie pasuje.

Sąsiadka z naprzeciwka chętnie by go wymieniła za swego męża. Powiada, że jest pracowity, posłusznie wykonuje wszystkie polecenia żony. A jej mąż nie dość że się leni, to jeszcze marudzi.

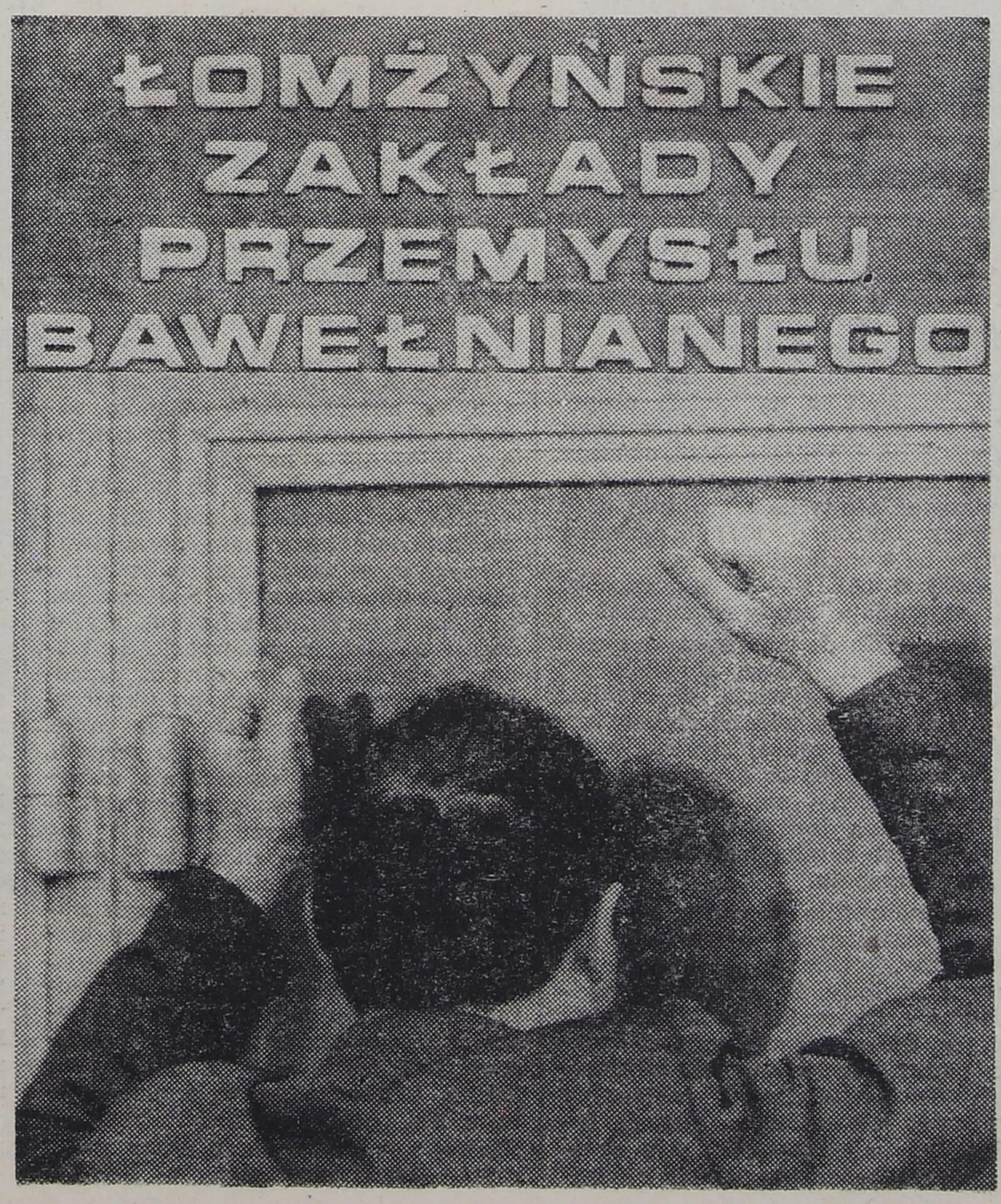
Sierzputowskiemu bardzo zależy na powrocie do „Narwi", bo choć gospodarstwo ma bogatsze niż mówi, to jednak musiał je przecież za coś postawić na nogi, a miesięczna, regularna pensja pozwalałaby mu regularnie spłacać zadłużenie. Do „Narwi" ma dobrą komunikację, a w oddziale — zaprzyjaźnionych ludzi, z którymi się zżył i chciałby pracować. Więc w dniu 10 marca br. wysłał do dyrektora naczelnego ŁZPB „Narew" prośbę o ponowne przyjęcie do pracy, bez jakichkolwiek roszczeń za czas bezpowrotnie stracony. Składalnia jest mała, zakład jednak spory; może ukryje się w nim jeden człowiek, do którego pracy nikt nigdy nie miał zastrzeżeń?

Lecz mury zakładu okazują się grubsze, niż się z pozoru wydawały, a postawa dyrektora bardziej nieprzejednana niż niechęć Sierzputowskiego do ręki sekretarz Rosińskiej. W dniu 19 marca br. powiadomił o tym zainteresowanego w następujący sposób: *„W odpowiedzi na podanie Obywatela w sprawie przyjęcia do pracy w n/Zakładzie, Dyrekcja Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego »Narew« w Łomży informuje, że nie ma możliwości zatrudnienia Obywatela w n/Zakładzie.*

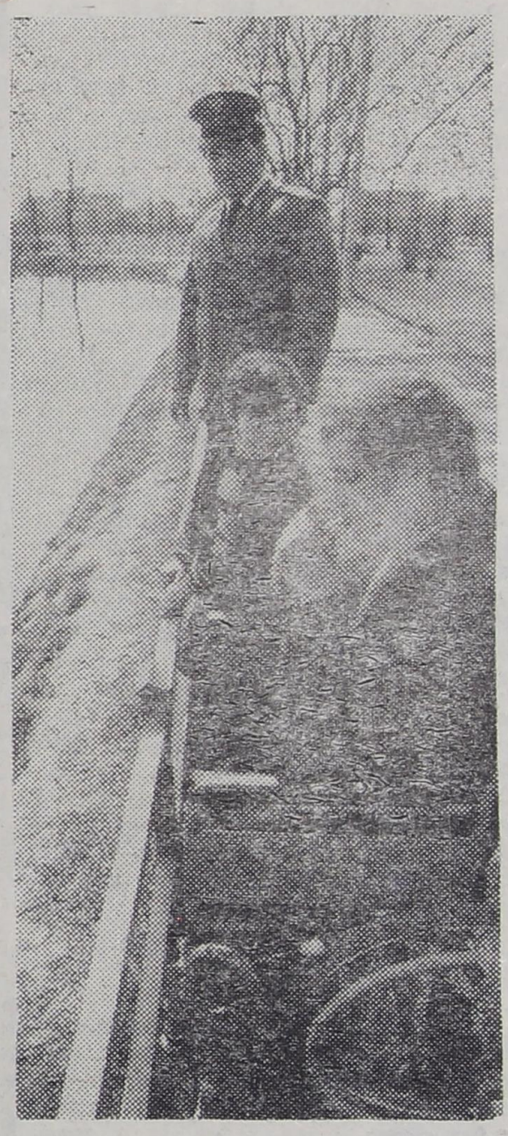
Nadmienia się, że Obywatel pracował w ŁZPB »Narew« w Łomży, gdzie został zwolniony przez zakład bez wypowiedzenia z powodu ciężkiego naruszenia dyscypliny pracy, nieumiejętności współżycia z ludźmi oraz zakłócenie ładu i porządku."

Brakuje jedynie dopisku: *„Bo taka jest nasza wola".* Nie można uznać, że Jan Sierzputowski otrzymał w ten sposób od swego potencjalnego przełożonego cios łaski. Zatem obu stronom wypada zadedykować te oto smutne przysłowie: „A bon chat bon rat!"

STANISŁAW ZIELIŃSKI
FOT. GABOR LÖRINCZY



Zbiornik nieszczęść



Sześcioletni Mariusz Korżyński, mieszkaniec Wysokiego Mazowieckiego, byłby już trzecią ofiarą lekkomyślności i braku wyobraźni ludzi odpowiedzialnych za zbiornik przeciwpożarowy, usytuowany w centrum miasta. Tylko dzięki refleksowi i ofiarności plutonowego MO, Jerzego Wróblewskiego, do nieszczęścia nie doszło.

— Byłem na spacerze ze swoimi dziećmi, gdy usłyszałem wołanie o pomoc ojca tonącego dziecka. W biegu wskoczyłem do wody i chwyciłem za rękę, która wynurzyła się z wody. Na ląd pomogli mi wynieść dziecko strażacy z pobliskiej remizy, bo brzeg jest stromy i mulisty.

To cud prawdziwy, że do tej pory utopiły się w zbiorniku tylko dwie osoby, bo przecież w jego sąsiedztwie odbywają się różne festyny, zakrapiane nie tylko piwem. Mimo że od ostatniego wypadku minęły już dwa tygodnie — w dalszym ciągu jedyną asekuracją ludzi przed topielą pozostaje dekoracyjny, 30-centymetrowy, płotek.

Tekst i foto:
GABOR LORINCZY

osobowość tygodnia

spięcia

Panika niekoniecznie musi być efektem sytuacji czy nastrojów ekstremalnych. Przekonaliśmy się o tym na rynku w Kolnie — przed zespołem gablot, które postawiono (po wieloletnich staraniach) z zamiarem eksponowania aktualnych treści ideowo-propagandowych. Otóż panika ogarnęła nas nie w wyniku świadomości, iż zamieszczone tam eksponaty już spłowiały, lecz na skutek obawy, czy redagujący zawartość gablot propagandyści zdążą choćby wymienić tam — przed stosowną porą — tzw. akcenty okolicznościowe. Rzecz dotyczy róż na ubiegłorocznych plakatach pierwszomajowych. Może udałoby się je przynajmniej na ten dzień zrosić wodą, bowiem za szkło żaden wiatr historii sam nie wniknie, żaden deszcz odżywczy nie przecieknie.

★

Sklep spożyczy nr 1 przy placu Niepodległości w Łomży obrasta złą sławą. Ekspedientka nosząca monogram M.Z. nie kryje się z faworyzowaniem znajomych, a zapytana o przyczynę takiego postępowania, odpowiada niegrzecznie: — Ja wiem, komu się należy! — Chcielibyśmy w to wierzyć, jak również w dobrą wolę jej koleżanki, która sprzedała abonentowi ze Sławca ewidentnie zepsutego kurczaka, po czym kategorycznie temu faktowi zaprzeczyła, jakby zarejestrowane w jej sklepie kartki nie były tego wystarczającym dowodem. Jeśli ktoś jeszcze raz przyniesie do redakcji cuchnące ścierwo — postaramy się, aby otrzymała je w przydziale nieuczciwa ekspedientka. Podobnie postąpimy w przypadku wciśnięcia staruszkom ochłapów zamiast mięsa I kategorii. Obiecujemy.

★

Nareszcie LZS w Wysokiem Mazowieckiem ustalił stawkę za pożyczanie piłki; wynosi ona pół litra wódki. Nie wiemy, czy jest to cena wygórowana. Wiemy natomiast, że demoralizuje amatorów gry, a jest to młodzież zrzeszona w ZSMP. Pamiętamy: dobrego knajpa nie zepsuje itd., ale po cóż LZS ma ją wyręczać?

★

Pan T., jako człowiek dobrze skoligacony, a ponadto dyrektor ważnego przedsiębiorstwa, boleśnie odczuł odnowę. Przedtem był zapraszany przez władze lesistych terenów i wytrzebił ze zwierzyny spore połacie kraju. Obecnie terenowi decydenci powściągnęli swą gościnność, a z menu pana T. wypadły: comber sarni, pasztet z zająca, szaszłyki z dzika itd. Sądzimy, że bardziej humanitarnym krokiem wobec zwierzyny byłoby przyznanie sfrustrowanemu myśliwemu kartek na dziczyznę niż jego ewentualny powrót do praktyki tropiciela. A jeśli nie potrafi również żyć bez strzelania — taniej wyjdzie wręczenie mu bezpłatnej karty wstępu na strzelnice sportowe w całym kraju.

★

Kierownik Ośrodka Szkolenia Kierowców przy łomżyńskim LOK-u lansuje zasadę dopuszczania do eksternistycznych egzaminów na prawo jazdy tylko d z i a ł a c z y. Nienowa to zasada, lecz po cóż wyznawać ją tak głośno i bezceremonialnie?

★

Od kilku lat 140 dostawcom mleka w miejscowości Słucz (gmina Radziłów) służą za zlewnię prywatne obory. Rolnicy nie mogą się dopytać o ewentualne plany budowy zlewni, bowiem ich prowizoryczny punkt skupu ciągle zmienia spółdzielczego właściciela. Po Prostkach i Kolnie zarządzanie przejęło Grajewo, co nie zmieniło sytuacji zainteresowanych dostawców. Praktyka ostatnich miesięcy uczy, że najłatwiej zmieniać kierowników, przy czym nie ma to żadnego wpływu na uciążliwą rzeczywistość.

Szajna zza kulis

W marcu br. odbyło się w klubie Miejskiego Domu Kultury — Domu Środowisk Twórczych w Łomży spotkanie z aktorką Teatru Studio w Warszawie, Ewą Kozłowską.

GŁOS Z SALI: — Właściwie nikt nie mówi „Teatr Studio", za to słyszy się: „Teatr Szajny", „Studio Szajny", „U Szajny". Te określenia oddają społeczne przekonanie, że Józef Szajna jest w Studio i dla Studia wszystkim: reżyserem, adaptatorem, inscenizatorem i scenografem. W czasie oglądania spektaklu nasuwa się nieodparte wrażenie, iż tekst i aktor są służebne wobec osobowości Szajny. Nie mogę się pogodzić z tym rodzajem dyktatury.

EWA KOZŁOWSKA: — My, aktorzy tej sceny, spotykamy się często z podobnym zarzutem. Być może taki obraz Teatru Studio jawi się od strony widza. Jednak po drugiej stronie kurtyny jest on inny. Szajna to niewątpliwie bardzo wielka i zaskakująca osobowość. Mimo wielu lat wspólnej pracy aktorzy znają go bardzo mało. Jego zdecydowany i oryginalny, a przy tym wciąż zmieniający się, stosunek do świata zasadniczo wpływa na kształt propozycji teatralnych. Są one agresywne, niepokojące i budzące kontrowersje. Aktor musi się tym wizjom podporządkować, ale tylko generalnie, gdyż wszyscy aktorzy mają ogromny wpływ na kształt spektaklu.

GŁOS Z SALI: — W jaki sposób? Jak wyglądają próby sceniczne?

E.K.: — Każda koncepcja nowego spektaklu jest jakby „brulionem", szkicem, niejasną wizją. Wprawdzie Szajna doskonale wie, co chce osiągnąć, ale jest to rodzaj „wewnętrznego światła". Próby są ogromnym wysiłkiem zbliżenia się do tej wizji. Jej konkretna forma sceniczna budowana jest z udziałem wszystkich członków zespołu.

Niejednokrotnie w czasie naszych wojaży teatralnych pytano nas, jak pracujemy. Odpowiedź jest jedna: nie ma metody. Z pewnością podświadomie tworzymy jakiś wspólny styl gry, który pozwala nam udźwignąć ciężar propozycji inscenizatorskich Szajny. Element racjonalny sprowadza się często do długich tygodni dyskusji i sporów. Ale ogólnie: nie do końca pracujemy z Szajną świadomie. Nie ma mowy, by na pierwszych próbach zarysować daną rolę. Do ostatnich prób bowiem nie wiadomo, jak ukształtowaną postać przyjdzie zaprezentować w spektaklu. Nie mamy napisanych ról. Czasem są to wyrywki zdań, epizody tekstowe, impresje — oczywiste dla Szajny, a dla nas nie układające się w logiczną całość. Trzeba zatem dopiero przebijać się do jego zamysłu twórczego, by zbudować konsekwentną postać. Nie ma w tym osobistym dociekaniu do intencji Szajny nic z „pedagogizmu", cechującego tak wielu reżyserów, którzy prowadzą wykonawcę krok za krokiem i budują mu rolę (często bezbłędnie) bez większego wysiłku aktora. Praca z Szajną wymaga ogromnej koncentracji, inwencji, a także aktorskiego ekshibicjonizmu. Próba generalna okazuje się wypadkową nie uświadomionych do końca, wspólnie wypracowanych, scenicznych doświadczeń.



Z tej racji można mówić o naszej pracy jako o kreacji zbiorowej. Ostateczny efekt tych starań bywa dla nas zaskoczeniem, a przypuszczam, że również dla Szajny. Mimo ogromnego trudu jest to przygoda niepowtarzalna.

GŁOS Z SALI: — Słyszy się jednak, że aktorzy Teatru Studio odchodzą do innych teatrów, by porównać założenia i metody pracy. Czy Pani nigdy nie miała tej pokusy?

E.K.: — Oczywiście, tak. Zawodowa próżność każe nam poszukiwać różnych możliwości samorealizacji: w kinie, radiu, telewizji. Nie oznacza to jednak zerwania z Szajną. Myślę, że nie mogłabym już wrócić do tradycyjnego teatru, w którym pracowałam przez dwa lata po ukończeniu studiów aktorskich. Tak mnie, jak i innym członkom tego zespołu, teatr tradycyjny, szczególnie utrzymany w XIX-wiecznej manierze i realistycznej stylistyce, wydaje się okropnie nudny. Dzieje się z nami coś tak dziwnego, że nawet na perfekcyjnie zrobionych spektaklach odczuwamy niedosyt. Mój wybór teatru Szajny nie jest aktem rozpaczliwego schwytania okazji, ale świadomą decyzją sprzed ośmiu lat. Zawsze interesowała mnie scena proponująca zdecydowaną i oryginalną formę, tzn. odrębne widzenie świata, a nie „poczet gwiazd". Praca z Szajną jest kontynuacją pracy z Jerzym Grzegorzewskim, z którym zetknęłam się na studiach, a także potem, w paru realizacjach teatralnych.

GŁOS Z SALI: — Zestawienie Grzegorzewskiego z Szajną sugeruje, że odpowiada Pani plastyczna forma teatru. Czy jednak Szajna nie stał się w tym plastycyzmie autoepigonem?

E.K.: — Myślę, że jeżeli już powtarzać, to lepiej siebie niż innych. Poza tym wszyscy wybitni twórcy, bez względu na dyscyplinę uprawianej sztuki, kreują własny styl tak wyraźnie, że poznać łatwo po nim autora w każdym jego dziele. Więc nie czyniłabym z tego powodu zarzutu Szajnie. Jest on przede wszystkim plastykiem, i ten typ obrazowania będzie u niego zawsze dominować. Nigdy nie interesował go np. teatr tekstu, chociaż nam, aktorom mającym za sobą specyficzne przygotowanie, niekiedy bardziej odpowiada teatr literacki. To, co u Szajny może wydawać się powielaniem, jest świadomym i celowym podkreśleniem pewnych elementów struktury przedstawionej rzeczywistości. Zresztą: pomijając nawet ów argument, wystarczy zestawić „Replikę" z „Dantem"; mimo niezmiennej konwencji plastycznej różnica jest widoczna aż nadto. Poza tym o rozwoju Szajny jako artysty świadczą jego najnowsze poczynania. Zabrzmi to może zaskakująco, ale ostatnio odchodzi on wyraźnie od praktyki scenicznej. Nasza placówka przekształciła się w Centrum Sztuki. W jego skład wchodzi, poza teatrem, Galeria „Studio", jedna z niewielu galerii współczesnych w Warszawie (a na tym poziomie z pewnością jedyna), oraz działalność seminaryjna z pogranicza sztuki awangardowej.

GŁOS Z SALI: — Niemniej ostatnio o Szajnie nie słychać.

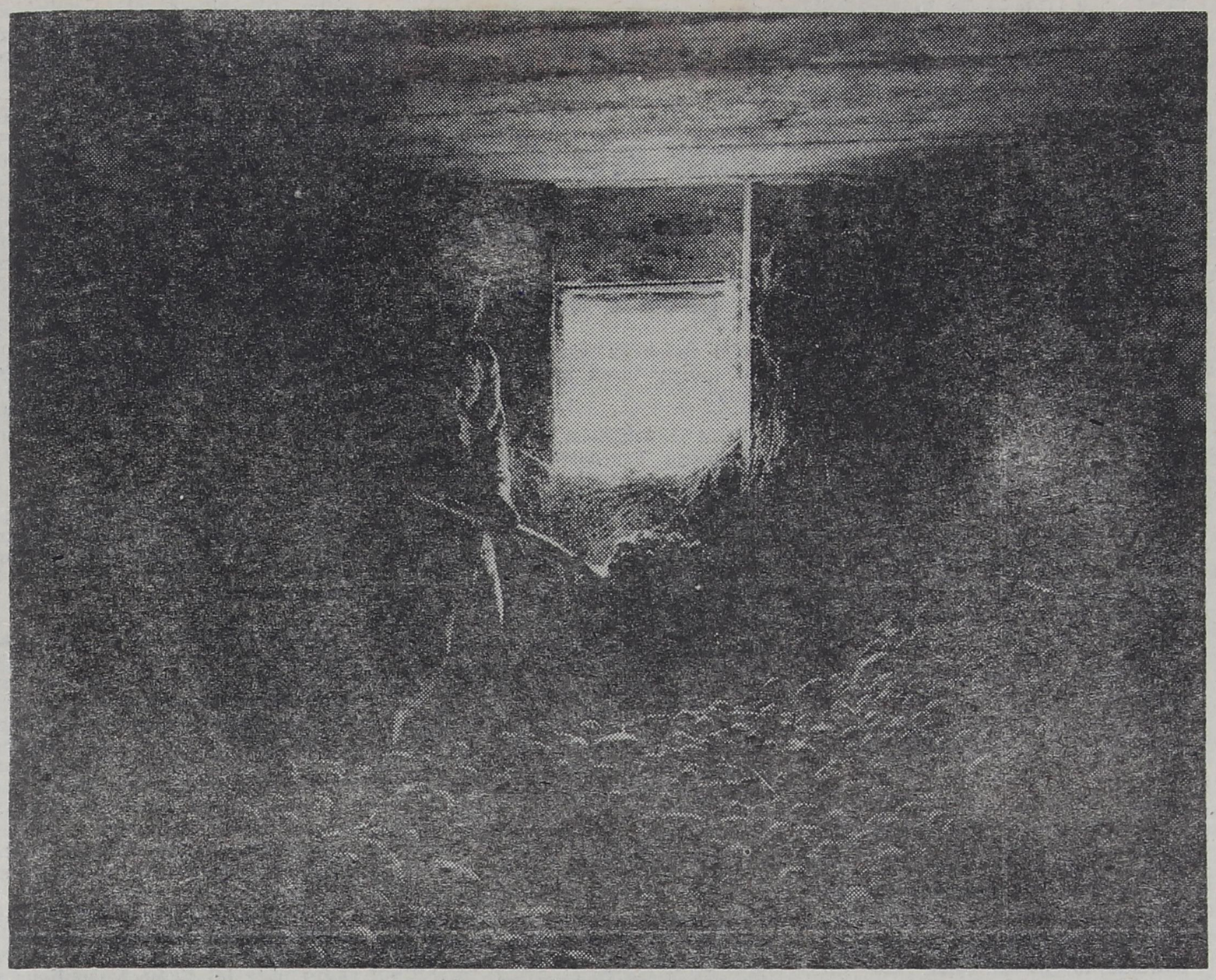
E.K.: — Wydaje mi się, że utworzenie Centrum Sztuki było odskocznią do nowego etapu. Powinien on rozpocząć się już wkrótce, gdyż po długim milczeniu od czasu realizacji „Śmierci na gruszy" Szajna zdecydował się na nowe przedsięwzięcie. Na razie otoczone jest ono tajemnicą, ale jesteśmy w przededniu prób jego podjęcia. Oczekujemy na ten moment z nie mniejszym chyba zainteresowaniem niż publiczność. Będzie to przecież dla nas, wykonawców, nowa odpowiedź na stare pytania: co robimy dalej? Co Szajna nam zaproponuje? Co z tego wyniknie dla naszego aktorstwa? Nie znaczy to jednak, że presja tych pytań i oczekiwań społecznych zmusi Szajnę do przerwania artystycznego milczenia. Jestem przekonana, że jeżeli przerwie owo pasmo ciszy, to w sposób świadomy i dobrowolny, chociaż z pełną orientacją co do siły i poziomu oczekiwań. Powtarzam, będzie to jednak decyzja niezależna od jakichkolwiek presji, a jej efekt artystyczny, jak przypuszczam, na miarę tej niepowtarzalności, która stanowi o jego sile przyciągania.

GŁOS Z SALI: — Czy ten urok osobowości Szajny — człowieka i Szajny — artysty nie wciąga aktora w orbitę „bycia namaszczonym"?

E.K.: — Teatr Studio to przede wszystkim mój warsztat pracy: taki sam, jaki mają ludzie innych profesji. Nie uważam aktorstwa za zawód nobilitujący, wynoszący człowieka sceny ponad tłumy. Z drugiej strony — nie jest to kompleks niższości wobec Szajny. W pracy traktuję go jako partnera, inaczej nie wyobrażam sobie naszego współdziałania. Wydaje mi się, że pozostali członkowie zespołu pozostają z nim w tej samej relacji zawodowej. Są jednak sytuacje, które zmuszają do określenia swojej wartości, jej wyraźnego zaakcentowania i obrony. Mam tu na myśli recenzje o naszym zespole. Bywają bowiem wśród nich głosy zarzucające zespołowi uprawnianie amatorszczyzny i studenckich wprawek scenicznych, chociaż tym określeniom nie towarzyszy żadna argumentacja. Można się domyślić, iż jedną z przyczyn takich opinii jest nieobecność w naszej grupie „gwiazd". „Gwiazdą" w Teatrze Studio jest cały zespół, lecz owa forma kreacji zbiorowej nie znajduje widać aplauzu. Pod wpływem opisanych tu recenzji czujemy się obrażeni, bo znamy swoją wartość, chociaż — powtarzam — nie przeceniamy jej. Często mamy również wrażenie, że piszący te sądy naprawdę nigdy nie zajmowali się głębiej naszą działalnością. Dlatego myślę, że to nasze wspólne rozważanie problemów teatru Szajny przybliży wszystkim jego istotę.

Opracował JULIUSZ ŚWIREDO
Fot. GABOR LÖRINCZY

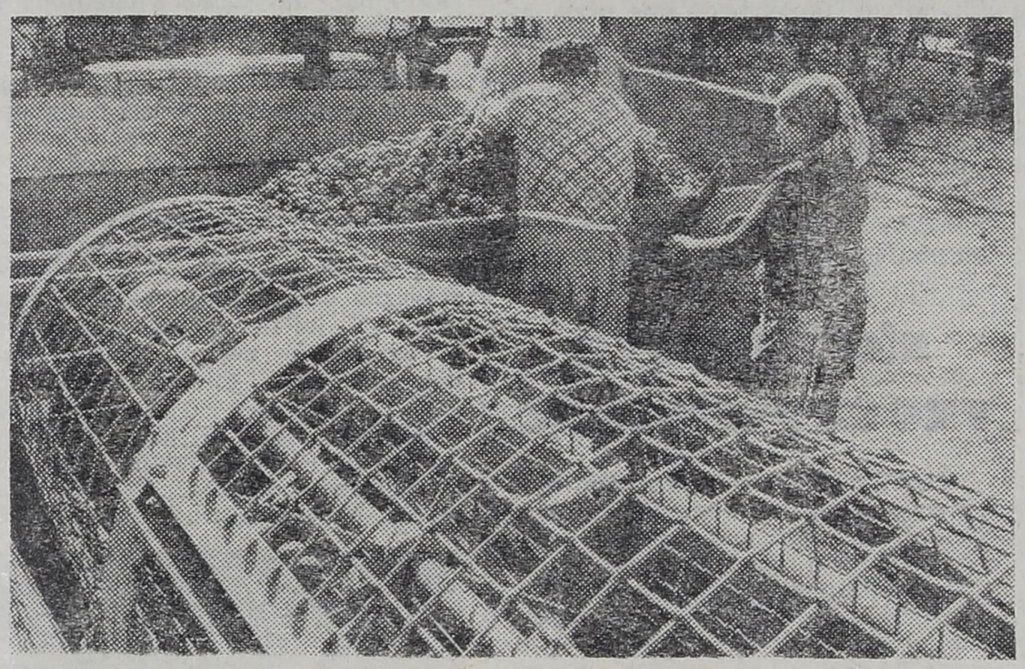
ZIEMNIAK

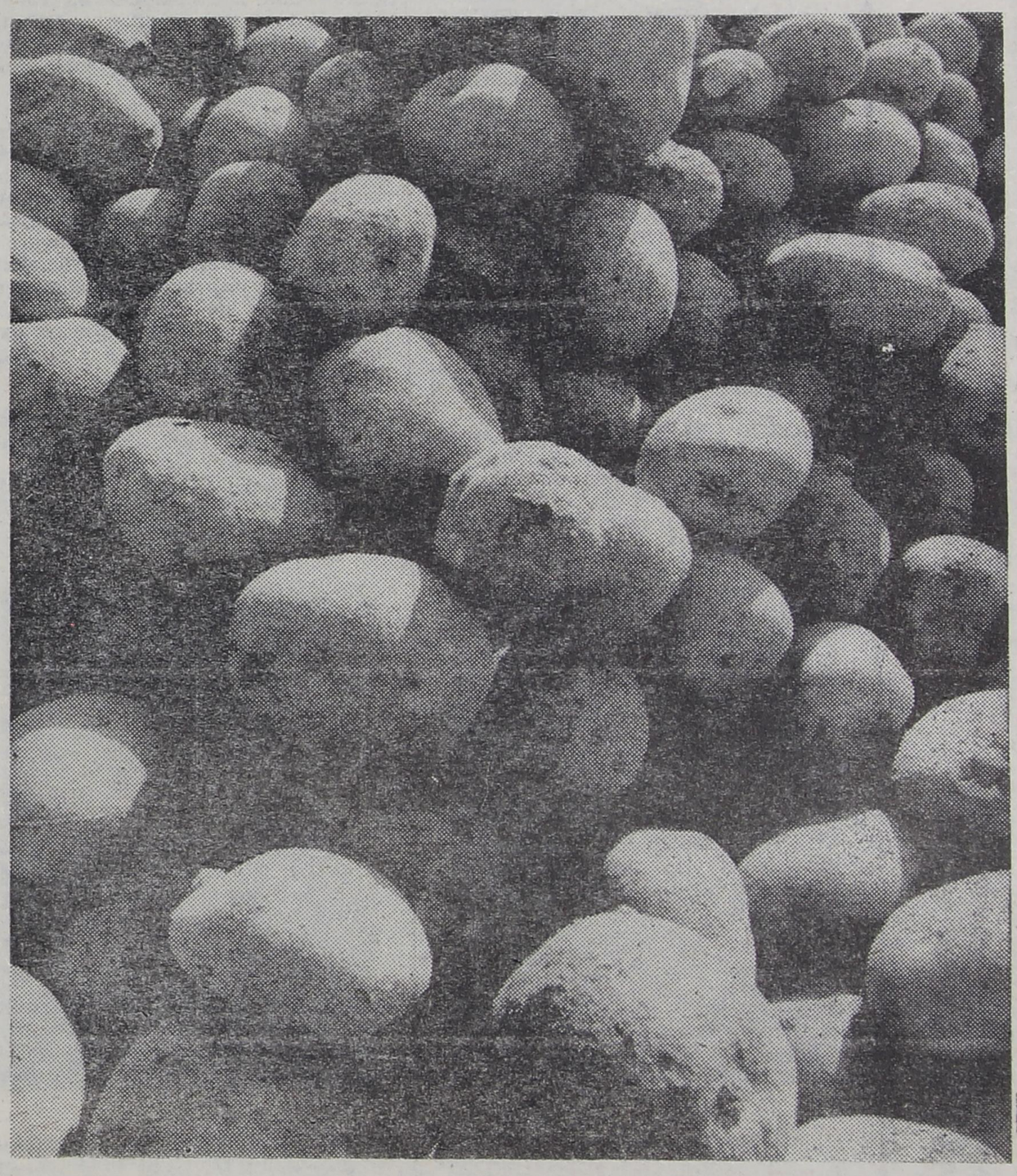


Pospolity niegdyś ziemniak stał się od ubiegłego roku towarem gorączkowo poszukiwanym i wysoko cenionym. Łomżyńskie wybiło się na krajowego potentata ziemniaczanego, a to dzięki wszechpanującym tu piaskom. W handlu wymiennym z innymi województwami (a jest i taki) kartą przebitkową w roku 1980 był właśnie ziemniak.

W Polsce zbiera się średnio w roku (nie nawiedzonym przez klęski) około 55 milionów ton. Z tej liczby marnuje się aż 5 milionów w postaci różnych odpadów, na co — notabene — nie stać kraje dużo bogatsze od naszego. Ziemniak, oprócz zalet kulinarnych, na których opiera się tradycyjna polska kuchnia, służy jako surowiec do produkcji stu różnych wyrobów (w krajach wysoko uprzemysłowionych — pięciuset), między innymi materiałów wybuchowych w górnictwie, preparatów usztywniających, kwasu cytrynowego, kisielów, glukozy itd.

Rozwój uprawy ziemniaków w Polsce hamują: prymitywne przechowalnictwo, nieprawidłowy dobór sadzeniaków, nieodpowiednie nawozy i warunki pogodowe. Mimo to pod względem produkcji ziemniaków jesteśmy w świecie w pierwszej trójce, a w Europie zajmujemy pozycję drugą.





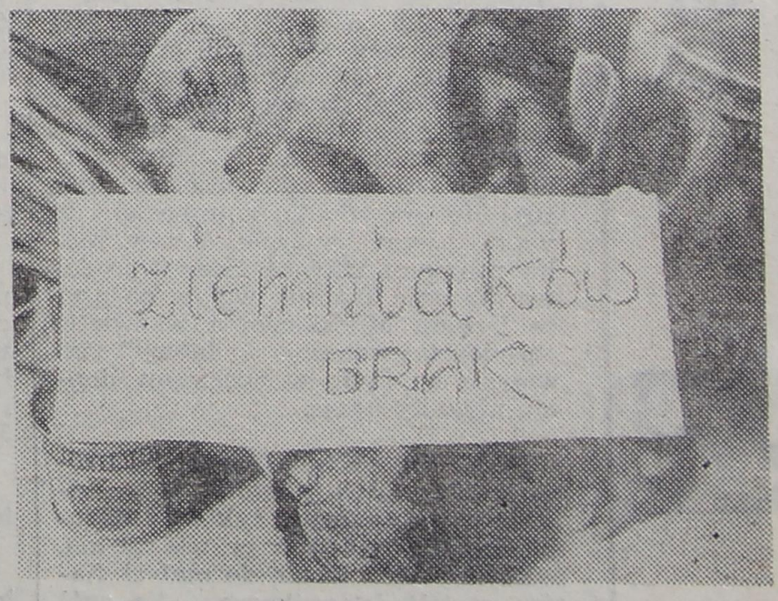
MISTER



tekst
i zdjęcia

Gabor
Lörinczy





DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

ryzyko interpretacji

„KONTAKTY": — Panie prezydencie, przed objęciem obecnej funkcji był pan dyrektorem łomżyńskiego POM-u. Miał pan opinię świetnego organizatora, właściwego człowieka na właściwym miejscu. Jak ocenia pan siebie jako prezydenta wojewódzkiego miasta?

JERZY NEWELSKI: — Tu i tam mam do czynienia nadal z wieloma trybikami. Ale poważnie: w dużej mierze opiniują mnie trudne warunki, w jakich wykonuję swoją funkcję. Kiedy większość spraw podstawowych nie została załatwiona, kiedy przepycha się je z wielkimi trudnościami — nie sądzę, abym mógł mieć najlepszą opinię.

„KONTAKTY": — Przeprowadziliśmy na ulicach Łomży mini-sondę. Spośród 25 przypadkowo spotkanych osób, 16 nie wiedziało, kto jest prezydentem Łomży, 21 nie znało nazwiska przewodniczącego Miejskiej Rady Narodowej. Na pytanie: „Jak Pan, Pani ocenia władze Łomży?" — 10 osób stwierdziło: „Nie obchodzi mnie to"; osiem oceniało negatywnie, trzy powiedziały: „Zmienić władzę", a siedem, że zmiany nie przyniosą żadnych rezultatów. Wobec tego jaki wpływ ma Miejska Rada Narodowa na decyzje prezydenta?

ANTONI DROZDOWSKI, I sekretarz KM PZPR: — Należy to pytanie rozszerzyć: czy w ogóle Miejska Rada Narodowa ma jakiś wpływ na to, co się dzieje na terenie miasta. Rada jest organem ustawodawczym dla prezydenta miasta i jego decyzje są uzależnione częściowo od ustaleń Rady. Najważniejsze są uchwały dotyczące społeczno-gospodarczego rozwoju i budżetu miasta, i one dyktują prezydentowi zadania do całorocznej realizacji. Miejska Rada Narodowa nie zawsze mogła decydować, co w tym planie powinno się znaleźć — zależało to od wielu wskaźników otrzymanych z góry, z Urzędu Wojewódzkiego. Myśmy te wskaźniki analizowali, rozważali z wyborcami, ale obracaliśmy się w określonych przedziałach finansowych.

JÓZEF LESZCZYŃSKI, przewodniczący MRN: — Cóż ja mogę powiedzieć; nawet sonda wskazuje, że mnie ludzie nie znają. Ale to chyba wina prasy, bo tylko jeden raz zo-



stało wspomniane, kto został wybrany, i na tym koniec. W uzupełnieniu tego, co powiedział towarzysz sekretarz, dodam, że w ramach Miejskiej Rady Narodowej działają komisje i one chyba większą pracę wykonują, bo sesje zbierają się rzadziej i rozpatrują zagadnienia problemowe o większym znaczeniu. Komisje formułują całe szeregi wniosków, kierują do prezydenta, a prezydent te wnioski wciela w życie. A więc, moim zdaniem, Miejska Rada Narodowa ma dość znaczny wpływ na pracę Urzędu Miejskiego, a w świetle obecnej tak zwanej „odnowy" stawia się na Radę w większym stopniu niż dotychczas.

„KONTAKTY": — Gdy przed wojną władza miała kłopoty, to mówiła, że winni są Żydzi, cykliści i dziennikarze. Teraz Żydów prawie nie ma, cykliści przesiedli się do małych fiatów, zostali dziennikarze... Na ogół pisze się o tym, co ma znaczenie dla miasta, dla społeczeństwa. Gdyby Rada Narodowa miała inicjatywę, pobudzała aktywność społeczną, to prasa czułaby się zmuszona do napisania o niej. Dokonał pan więc mimowolnej oceny. Idąc za ciosem, pytanie do prezydenta — niech nam szczerze powie, co jest dla niego bardziej kłopotliwe: sesja Miejskiej Rady Narodowej czy rozmowy w Komitecie lub u wojewody?

JERZY NEWELSKI: — Jedno i drugie jest kłopotliwe. Nieczęsto zapraszają mnie do Urzędu Wojewódzkiego, a zatem nie narzekam na duże obciążenie. A sesja Miejskiej Rady, z tego względu, że Rada nie zna moich kompetencji, nie przyjmuje do wiadomości, iż tę akurat sprawę załatwiają służby wojewody. Inaczej przyjmuje się interpelację, która zależy tylko od prezydenta, inaczej, gdy prezydent jest pośrednikiem między radnym a wykonawcą konkretnej interpelacji. Można powiedzieć, że ja każdą interpelację załatwiam, bo odesłałem ją do odpowiedniej osoby, jak określam — adresata.

ANTONI DROZDOWSKI: — Interpelacji było dużo, czas ich załatwiania różny. Ale nie ma tam takich, które nie byłyby uwzględnione.

Ppłk STANISŁAW SOSNOWSKI, radny MRN: — Ja zgłaszałem interpelację w sprawie ulicy Stacha Konwy i Nowogrodzkiej. Miała być uporządkowana do czerwca ubiegłego roku. Dotychczas nic nie zrobiono.

JERZY NEWELSKI: — Miała tam powstać targowica. Nie kto inny, tylko Rada zakwestionowała racjonalność tego rozwiązania, proponując przeznaczenie tego terenu pod inwestycje. Wzniesiemy tam bloki mieszkalne.

TADEUSZ OLEJNICZAK, radny MRN: — Pan wie doskonale, że na wielu sesjach dominowała jedna zasadnicza interpelacja. Watahy psów krążą po mieście; obawiam się, że nas zjedzą. Druga dotyczy otwarcia ulicy Kierzkowej. Nie wiedziałem już, z kim w tej sprawie rozmawiać. W końcu tak się zdenerwowałem, że swoje materiały i zebrane przez dyrektorkę Szkoły numer 4 wysłałem do Prokuratury Rejonowej.

JERZY NEWELSKI: — Przykro się do tego przyznać, ale w sprawie ulicy Kierzkowej jestem bezsilny...

TADEUSZ OLEJNICZAK: — Panie prezydencie, da mi pan dziesięciu ludzi, a sam załatwię ten problem.



HALINA KOTOWSKA, dyrektor Wojewódzkiej Dyrekcji Przebudowy Miast i Osiedli Wiejskich: — Mam tu notatkę z uzgodnieniami, że do końca kwietnia „Budopol" Pisz przeniesie ten płot i naprawi chodnik.

TADEUSZ OLEJNICZAK: — Pani dyrektor, nasz miejski architekt polecił uporządkować ulicę do końca grudnia ubiegłego roku...

HALINA KOTOWSKA: — Skoro nie mogłam wyegzekwować tej decyzji od „Budopolu", sprawę skierowałam do arbitrażu, bo wyczerpałam wszystkie możliwości pisemne i telefoniczne. Załatwię wszystko do 30 kwietnia.

„KONTAKTY": — Pani wierzy w ten termin?

HALINA KOTOWSKA: — Muszę, bo jest to termin realny.

Łomża jak na dłoni — po raz pierwszy

(Od redakcji: wkrótce po spotkaniu sporny teren został uporządkowany).

ROMAN RISZKA, dyrektor Wojewódzkiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej: — Gospodarka komunalna szuka rozwiązań, ale temat nie jest prosty. Psy na pewno denerwują. A skąd się biorą w mieście — to temat nie na dzisiejsze spotkanie. Nie mniej chcę powiedzieć wyraźnie, że sprawa wybudowania schroniska dla zwierząt, jego utrzymania, wyłapania psów, nie jest prosta. Oglądaliśmy schronisko dla psów w Białymstoku, nam się ten obiekt podobał, ale Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami ostrzegało nas, abyśmy białostockiego wzoru nie upowszechniali. Przystępujemy do projektowania własnego schroniska, mamy lokalizację. W tym roku spróbujemy ten problem uporządkować.

JERZY PIORUNEK, pracownik łomżyńskiego zakładu Białostockich Fabryk Mebli: — Pan mówi, że psom trzeba wybudować hotel. Zanim to się stanie, będą one przyczyną wielu nieszczęść. Córkę pogryzł pies. Prosiłem prezydenta, aby złapał psa, bo ja go nie mogę złapać. Czy nie ma w mieście takiej instytucji, która już teraz by się nimi zajęła? Kiedyś był hycel.

JERZY NEWELSKI: — Problem ten podlega Zakładowi Oczyszczania.

skrzypiąca rzeczywistość

„KONTAKTY": — Jak można było się spodziewać, najwięcej zgłoszonych przez łomżynian pytań dotyczy gospodarki mieszkaniowej. Wszyscy zgodnie podkreślają, że największym sukcesem miasta jest rozwój budownictwa mieszkaniowego. Ale w ponad 10-tysięcznym osiedlu Jantar większość nowych mieszkań otrzymali przede wszsytkim, jak się w mieście określa, „przybyszewiacy" czy „spadochroniarze".

JERZY NEWELSKI: — Nie mogę się z tym zgodzić! Rdzenny łomżyniak nie dzieli na „spadochroniarzy" i „miejskich", Łomżę i Przybyszewo. Pozycję wyznacza praca, inicjatywa i wkład intelektualny w życie miasta. Chcę powiedzieć, że prawdziwi łomżyniacy chętnie przyjmują nowych, byle zdolnych i kompetentnych.

„KONTAKTY": — My tego nie wymyśliliśmy.

JERZY NEWELSKI: — Oczywiście! Taki problem wynika z atmosfery, jaką stworzyli ci wszyscy, którzy od roku 1975 przybywali do Łomży, w ramach ściągania fachowców. Mówiąc precyzyjniej: ci, którym się nie powiodło.

„KONTAKTY": — Gdyby zajrzeć do mieszkań w blokach osiedla Jantar, to okaże się, że większość lokatorów nie pochodzi ani z Warszawy, ani z Białegostoku, tylko z podmiejskich okolic.

JERZY NEWELSKI: — To prawda. Ale Łomża pamięta o tym, że w poprzednich latach na całą pięciolatkę oddawaliśmy pięć bloków, a dziś robimy to w ciągu roku. Dawniej łomżyniaków nie można było namówić na udziałowców spółdzielni mieszkaniowej, okres ten wykorzystała ludność wsi podłomżyńskich. I teraz musimy przydzielać mieszkania tym, którzy czekają na nie osiem, dziesięć i więcej lat, bez względu na to, gdzie zamieszkują. A w samej Łomży warunki mieszkaniowe z roku na rok się pogarszają.

„KONTAKTY": — Właśnie. Co się robi, by ratować starą substancję mieszkaniową? Czy możecie, Panowie, powiedzieć, ile starych budynków zostało wyremontowanych w ostatnich pięciu latach?

JERZY NEWELSKI: — Na Nowogrodzkiej i na Buczka. Dwa. Nie chodzi już o techniczne wyposażenie mieszkań, o podstawowe instalacje, lecz o bezpieczeństwo lokatorów. Przekazaliśmy wszystkie budynki ADM-owi i ma on obowiązek przyjęcia ich do generalnego remontu. W czasach powiatu remontowaliśmy 11 budynków rocznie. Teraz Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Budownictwa Komunalnego w ogóle nie robi remontów, stąd te zaległości. Władze miasta nie są w stanie zmusić go do wykonywania swoich obowiązków.

„KONTAKTY": — Kolejka do mieszkań wciąż się wydłuża. Jak w takiej sytuacji tłumaczyć fakt nie zamieszkanych domków jednorodzinnych w Osiedlu Młodych? Ile tych domków jest?

JERZY NEWELSKI: — Ponad 400; gotowych do odbioru — 56. Stoją puste, bo brakuje tam światła, wody. Przyczyna: niedostatek środków. Na uzbrojenie terenów miejskich potrzeba 500 milionów, a dostaliśmy tylko 35 milionów złotych. Przy obecnym tempie prac potrwają one pewnie z osiem lat. Społeczeństwo deklaruje czyny społeczne. Jesteśmy zażenowani, bo nie możemy zapewnić materiałów, nadzoru fachowego.

„KONTAKTY": — Dlaczego mieszkańcy Osiedla Młodych mają robić kanalizację w czynie społecznym, skoro parę lat temu wpłacili na jej wykonanie po 6 tysięcy złotych?

JERZY NEWELSKI: — To nieporozumienie. Ta kwota jest podatkiem za podłączenie się do uzbrojonej ulicy, kanalizacji, prądu, wody.

MIESZKANIEC OSIEDLA domków jednorodzinnych: — Woda jest, to dlaczego nie podłączyć? Sieć energetyczna też jest, słupy postawione. Niechby ludzie się przeprowadzali. W ten sposób zwolnią się mieszkania.

HENRYK WAGNER, naczelnik wydziału Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli Wiejskich: — W całym osiedlu, z wyjąt-



kiem ulicy Walki Młodych, roboty elektryczne nie są zakończone. Nawalają wykonawcy. Woda też jest, z tym że tylko 52 proc. rur przepłukano i przechlorowano, natomiast reszty — ze względu na cienkie przekroje — nie. Jeśli zakład wodociągów i kanalizacji się z tym upora, to sprawa wody będzie niedługo zakończona. „Deszczówka" jest wykonana w 100 proc., „sanitarka" natomiast — nie skończona. Uzbrajanie osiedli — to inwestycje pozaplanowe, a województwo nie ma wykonawców. Łomżyńskie WPBK, jedyny wykonawca, w ciągu pięciu lat zrobiło trzysta metrów wodociągów w Jedwabnem. Uprzedzę pytania z osiedla A, bo widzę na sali zainteresowane osoby. Osiedle to ma specyficzne położenie — depresja, bagno. Są problemy z nawiezieniem ziemi i ukształtowaniem terenu. W tym roku osiedle umieściliśmy w planie finansowym. W osiedlu BC tragedia z

wykonaniem robót elektrycznych. Mieszkańcy założyli prowizorki, trzeba je najpierw zlikwidować, by móc robić linię.

MIESZKANIEC OSIEDLA: — Kiedy roboty będą zakończone? Bo terminy ciągle się zmieniają.

HENRYK WAGNER: — Miały być w grudniu ubiegłego roku, a będą w kwietniu.

„KONTAKTY": — Czy władze dostrzegają problem podwójnych mieszkań?

JERZY NEWELSKI: — W Łomży nie ma więcej niż dziesięć takich przypadków. Z listy wojewody przydzieliliśmy mieszkania fachowcom bez możliwości sprawdzenia ich poprzedniego stanu posiadania. Niektórzy określają swój pobyt na rok, dwa i też nie chcą likwidować mieszkań (nieraz własnościowych w innych miejscowościach). Do końca tego półrocza powinniśmy się z tym uporać. A jest tu dylemat: co jest większym złem — stracenie świetnego fachowca, np. lekarza z drugim stopniem specjalizacji, czy też (kierując się dobrze pojętym interesem społecznym) zgoda na zajmowanie dwóch mieszkań, w Łomży i w większym ośrodku.

„KONTAKTY": — Czy idzie tylko o tę grupę ludzi?

JERZY NEWELSKI: — Nie liczę takiej sytuacji: np. na ulicy Armii Czerwonej bardzo stary inwalida zajmuje lokal, mając przydział w mieszkaniu przy własnej rodzinie. Nie liczę również tych, którzy posiadają własne domki jednorodzinne. Są to rodziny wieloosobowe, z których dzieci się pożeniły i zostały w starych mieszkaniach. Nic w takich przypadkach zrobić nie możemy.

Z SALI: — Czy pan wie, że ci z domków jednorodzinnych odnajmują uczniom mieszkania w blokach, i to po cenach bardzo wysokich? Jeden z właścicieli zarabia na komornym cztery do sześciu tysięcy złotych miesięcznie!

JERZY NEWELSKI: — Oddzielny aspekt prawny od moralnego. Jeżeli babcia ze swojego mieszkania zrobiła internat, prawnie nic nie możemy zrobić. Nowe prawo lokalowe jednoznacznie postawiło sprawę. Obywatel może mieć dorobek własnego życia w postaci mieszkania. Prawo nie przewiduje możliwości dokwaterowania, a tylko dodatkowe opłaty za nadmetraż.



miasto bez miotły

„KONTAKTY": — Łomża jest miastem zaniedbanym, brudnym, ciemnym, nękanym przez plagę szczurów i zdziczałych psów; miastem połamanych chodników i podziurawionych jezdni. Latem zakrywa to wszystko zieleń i wtedy Łomża wydaje się piękna. Taka jest opinia również tych, którzy tutaj przyjeżdżają.

ROMAN RISZKA: — Z przykrością muszę stwierdzić, że to prawda. Usprawiedliwienie to nie jest, ale gospodarka komunalna, jej siły wykonawcze, zaspokajają potrzeby miasta w 50 proc. Mamy potencjał sprzed pięciu lat, a to oznacza, że okresu istnienia województwa po prostu nie wykorzystano. Opracowany został program porządkowania miasta. Chcemy go zrealizować i oczekujemy efektów w latach 1981—85.

„KONTAKTY": — Od strony Piątnicy wizytówką Łomży jest wyciek z szamba, płynący środkiem jezdni. U zbiegu Armii Czerwonej i Wojska Polskiego — podobnie. Panie prezydencie, jakie ma pan uprawnienia w stosunku do Zakładu Oczyszczania Miasta?

JERZY NEWELSKI: — Poprzednio nie miałem żadnych uprawnień. Od chwili, kiedy przyszedł dyrektor Riszka, to się radykalnie zmieniło. Na mój wniosek, i dyrektora Riszki, wojewoda zgodził się, bym brał udział w ustalaniu planu rzeczowego Rejonowego Przedsiębiorstwa i opiniowaniu osoby angażowanej na stanowisku dyrektora RPGKiM. Jeśli plan rzeczowy nie będzie wykonywany, mogę wnioskować o potrącenie premii dyrekcji, ponadto mam uprawnienia koordynacyjne. Ale to nie jest żaden znaczący wpływ. Sprawa szamba: trzykrotnie pisałem, aby szambo przy ulicy Zjazd było opróżniane. Mam ostateczną odpowiedź dyrektora Lucjana Ciuchty, że jego przedsiębiorstwo szamba nie przyjmie do wywożenia.

JÓZEF LESZCZYŃSKI: — Czy w zakresie estetyki i czystości miasta nie trzeba zacząć od siebie? Jak wygląda Zakład Gospodarki Mieszkaniowej — wewnątrz i zewnątrz? Sprzątaczki nie wywiązują się ze swoich zadań i ma to zasadniczy wpływ na estetykę miasta. Moja żona pół roku piekliła się z wami o sprzątanie klatki schodowej i w ogóle domu. W końcu wzięła u was jedną czwartą etatu i teraz macie chyba jedyną w Polsce sprzątaczkę z wyższym wykształceniem.

JERZY NEWELSKI: — Jak mam tłumaczyć, że ja za te sprawy osobiście nie odpowiadam. Uważam, że takie przedsiębiorstwo, jak RPGKiM, powinno podlegać Urzędowi Miasta. Czy będzie wówczas lepiej z czystością? Może tak, jeśli Miejska Rada Narodowa przeznaczy na ten cel więcej środków.

„KONTAKTY": — To za co pan, panie prezydencie, bezpośrednio odpowiada? Może przynajmniej za komunikację w mieście? Kto np. ustala kursy autobusów?

JERZY NEWELSKI: — I tu nie mam żadnego wpływu. Możliwości komunikacji miejskiej odbiegają daleko od zapotrzebowania społecznego. O stanie technicznym bazy lepiej nie mówić. Wprowadzony ostatnio nowy rozkład tras uwzględnia wiele postulatów mieszkańców, ale nie wszystkie.

Ppłk STANISŁAW SOSNOWSKI: — Jestem radnym Miejskiej Rady i do dziś nie wiem, kto odpowiada za komunikację miejską, kto podejmuje decyzje. Wojewoda mówi, że prezydent. Czy pan prezydent przejechał się kiedyś autobusem komunikacji miejskiej? Czy pan prezydent wie, w jaki sposób docierają dzieci do szkół, przedszkoli, żłobków? Gdyby ktoś sprawy komunikacji wziął sobie do serca, to można by ją poprawić o trzydzieści procent, likwidując, na przykład, linie do Poniatu, Giełczyna i Nowogrodu, bo tam powinien kursować PKS. Może osoba odpowiedzialna za komunikację przejechałaby się do Ostrołęki i zobaczyła minutowe rozkłady jazdy, mapy z liniami kursów, piękne przystanki. W Ostrołęce też jest ciasno, a jednak węzeł komunikacyjny zlokalizowano przy dworcu autobusowym.

JERZY NEWELSKI: — Komunikacja miejska podlega Rejonowemu Przedsiębiorstwu Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej, a ono, z kolei, siedzącemu tu dyrektorowi WPGKiM, Riszce. Komunikacja miejska była kiedyś nierentowna, więc przedłużono trasy. Granica miasta nie może stwarzać przeszkód okolicznym wsiom. Są przecież głosy, żeby miasto rozszerzyć. A autobusów nam nie przybywa. Możliwość poprawy być może kryje się w realizacji wniosku połączenia PKS i ZKM w jedno przedsiębiorstwo.

Z SALI: — Jak firma może być rentowna, kiedy autobusy jeżdżą stadami? Kierowcy nie gaszą na postoju silników, ba, zjeżdżają z tras do domu.

„KONTAKTY". — Nasz czytelnik pisze, że w wyniku nieszczelności przewodów gazowych i łączników traci się dziesiątą część gazu w butli. Jeśli pomnożyć to przez kilka tysięcy butli, okaże się, że straty są kolosalne. Czy można liczyć na to, że w końcu przestanie w mieszkaniu śmierdzieć gazem?

ROMAN RISZKA: — Poproszę o adres, bo o tym słyszę po raz pierwszy.

Z SALI: — U mnie się gaz ulatnia.

Z SALI: — I u mnie!

„KONTAKTY": — Może należałoby dokonać przeglądu wszystkich kuchenek i instalacji?

ROMAN RISZKA: — Taką decyzję muszę podjąć. Ale problemu nie załatwi się w jeden dzień. Odbiorców gazu mamy 8—9 tysięcy.

Z SALI: — A ci, co gaz rozwożą, nie mogą tego robić? Może ustalić jakiś dyżur telefoniczny.

ROMAN RISZKA: — Poinformuję redakcję o podjętych decyzjach.

WIESŁAW WAWRZYNIAK, rzemieślnik: — Ja czekałem kiedyś na gaz cały tydzień. W końcu przyjechali, ale nie do mnie, do sąsiada. W bazie kierowca powiedział, że nikogo w domu nie było. Zaproponowałem, że sam, w czynie społecznym, swoim samochodem, będę rozwoził butle; nie zgodzili się. Na 100 rozwożonych butli jak 60 przekażą na zamówienie, to wszystko. Te 40 opychają na lewo, po 200 złotych. Żądają po 120, 130 złotych za butlę, a ona kosztuje 111,30.



ROMAN RISZKA: — Znane sprawy, ale to kwestia uczciwości.

niech nam nikt nie przeszkadza

„KONTAKTY": — Przejdźmy do usług. W roku 1977 Miejska Rada Narodowa uchwaliła program rozwoju handlu i usług. Mieszkańcy Łomży do tej pory nie odczuli skutków jego realizacji.

JERZY NEWELSKI: — Problem dotyczy polityki usług. Jak można pobudzać zainteresowanie wykonywaniem usług bez podstaw ekonomicznych? Polityka fiskalna po prostu niektóre usługi zlikwidowała.

„KONTAKTY": — Skonkretyzujmy: ile było warsztatów rzemieślniczych w czasie uchwalania tego programu, a ile jest teraz?

JERZY NEWELSKI: — Dokładnie nie pamiętam, ale od tego czasu ich liczba utrzymuje się na tym samym poziomie: 93—95. Zanotowaliśmy minimalny wzrost, około 10 proc.

MIECZYSŁAW GIERŁOWSKI, pełnomocnik Izby Rzemieślniczej: — Samorząd rzemiosła dokonywał trzykrotnego przeglądu lokali pod kątem usług. W jego wyniku uzyskaliśmy tylko jedno pomieszczenie. Taką sytuację mogą poprawić tylko inwestycje własne rzemiosła. Politykę inwestycji mamy bardzo dobrą, ale realizacja napotyka bariery nie do pokonania.

WIESŁAW WAWRZYNIAK: — Aby ludzie nie narzekali na usługi, muszą się zmienić ceny. Bo rzemieślnik nie będzie dokładał. Zezwolenia dostajemy, a później władze wyższe wyrzucają nas i działkę dostaje ktoś inny, na przykład: taksówkarz Zubrzycki z Białegostoku, nie rzemieślnik.

Z SALI: — Kto wyraził na to zgodę. Zubrzycki chce teraz za tę działkę 1,5 miliona złotych!

JERZY NEWELSKI: — Podpisało Wojewódzkie Zrzeszenie Handlu Prywatnego, które miało tam dwa miejsca i z jednego zrezygnowało. Tyle tylko mogę zrobić, że nie zezwolę na sprzedaż przed upływem pięciu lat i osobie spoza Łomży.

„KONTAKTY": — Wymieniona uchwała wyznacza tereny pod zabudowę dla rzemiosła. Rzemieślnikom podyktowano warunki nie do przyjęcia — partycypację w kosztach ogólnego zagospodarowania terenu. Kiedy zostanie ta sprawa unormowana?

JERZY NEWELSKI: — Na to pytanie odpowiedzi powinien udzielić architekt wojewódzki. Ale nie skorzystał z zaproszenia, a nawet zabronił przyjść na spotkanie przedstawicielowi Biura Planowania Przestrzennego. Powiem całkiem szczerze: znam niewiele wydziałów w Urzędzie Wojewódzkim, od których otrzymuję konkretne odpowiedzi.

Z SALI: — Na terenie miasta decydujący wpływ powinien mieć prezydent i Miejska Rada Narodowa, a nie służby wojewody.

„KONTAKTY": — Pytanie niedyskretne: gdzie panowie oddają do czyszczenia kożuchy, reperują obuwie?

JERZY NEWELSKI: — Mój teść jest szewcem, więc nie mam problemu. A kożuchy czyści żona, ja jej w tym pomagam.

„KONTAKTY": — Nie każdy jest takim szczęśliwcem.

MIECZYSŁAW GIERŁOWSKI: — Mówię w imieniu samorządu rzemieślniczego. Niech nikt nam nie przeszkadza, a rozbudujemy usługi w mieście tak, że wszyscy będą zadowoleni. (mocne oklaski)

JERZY BRODZIUK
STANISŁAW TOMASZEK
STANISŁAW ZAGÓRSKI

wątpliwości

Przyznam się od razu, że w sprawie, o której chcę napisać, zajmuję stanowisko raczej nietypowe, i nie zdziwię się, jeżeli zostanę zgromiony. Bo chcę napisać o akcji antyalkoholowej, czyli o czymś, co wszyscy zgodnym chórem chwalą. Wszyscy? To skąd w takim razie biorą się te gigantyczne kolejki przed sklepami z wódką? Alkoholicy, dajmy na to... Czytamy przecież, jakie wielkie spustoszenia czyni alkohol w każdej zgoła dziedzinie, ile szkód, strat, nieszczęść etc., jak to podobno dzierżymy światowy prymat w spożyciu i tak dalej. No więc trzeba było ograniczyć ilość punktów i godzin sprzedaży, a także obowiązkowo podnieść ceny. Podobno pomoże.

Podobno, bo przecież łatwo wskazać kraje, gdzie alkoholu jest pod dostatkiem, i to znacznie tańszego niż u nas, a problemu alkoholizmu jakoś nie ma. Ot, chociażby całe południe Europy, niezależnie od ustroju. A odwrotnie: wiemy doskonale, że w paru krajach próbowano wprowadzenia prohibicji i skutki były odwrotne od zamierzonych. Alkohol był przez cały czas dla bogatych, a w wyniku prohibicji jego spożycie wzrosło w dwójnasób. Wiadomo, rzecz zakazana nęci. Może więc to, co robimy, jest leczeniem objawów, a prawdziwe źródła alkoholizmu tkwią głębiej i całkiem gdzie indziej? Prohibicja wprowadzona w Iranie nie przyczyniła się bynajmniej do wzrostu dobrobytu i prestiżu, a obyczaje raczej dziczały właśnie.

Jak to w ogóle jest, że alkohol bardziej jest potrzebny mężczyznom niż kobietom? Sprawa hormonów? Bardzo wątpię. Ktoś mi wyjaśniał, że mężczyzna jest po prostu znacznie bardziej narażony na stresy i „dowartościowanie się" bywa mu nagląco potrzebne. Wódka daje przecież — na niedługo, co prawda — poczucie pewności i wiarę we własne siły. I tu jesteśmy na istotnym tropie. Wódka pojawia się w nadmiarze tam, gdzie ludzie często czują się bezsilni. Jest więc rodzajem rekompensaty i jakoby lekarstwem. Więc praktycznie w całym świecie współczesnym alkoholizm wzrósł potężnie, bo też i życie stało się bardziej nerwowe. Ale przecież dokąd tylko sięgamy pamięcią wstecz, zawsze pito alkohol, raz mniej, raz więcej. Jeśli więc jest złem, to jednak i powszechnym, i bodaj niezbędnym. Można się ze mną nie zgodzić, wydaje mi się jednak, że każda cywilizacja musi mieć jakieś swoiste środki oszałamiające i antystresowe. Alkohol wcale nie jest najszkodliwszy. Kraje islamu przepędziły trunki, ale musiały się zgodzić na powszechne użycie narkotyków. Indianie mieli peyotl, Chińczycy opium, współcześni całego świata — naprawdę straszliwe narkotyki. Ale nikt nigdy nie mógł się bez czegoś w tym rodzaju obyć. Uważajmy więc, abyśmy przypadkiem nie wdepnęli w coś o wiele groźniejszego. Po części zresztą już się to dokonało.

Bardzo słusznie mówi się o tym, że nie tyle pijemy za wiele, ile pijemy źle; że została zwichnięta proporcja spożycia wódki wobec wina i piwa. Arcysłusznie. Tyle że trochę za późno. Lat temu piętnaście, a może trochę później, nie pamiętam dokładnie, toczono wściekłą kampanię przeciw słynnym „budkom z piwem". Zwyciężono, piwa już w budkach nie uświadczysz, gdzie indziej też z nim nie najlepiej. Co zrobili piwosze? Przerzucili się na wódeczkę. Bywało też u nas niekiedy sporo niezłego wina węgierskiego i tunezyjskiego po trzydzieści i coś złotych, ale zauważono, że ludzie chętnie je pijają, więc wyśrubowano ceny czterokrotnie i więcej. Kogóż na to było stać? Zwłaszcza że wina pije się przecież więcej. Teraz podniesiono ceny na wódkę. Między bajki włóżmy pobożne życzenia, że zlikwiduje się bimbrownie. Milicjanci — poza wszystkim — też ludzie. A czy obniżyło się ceny piwa i, nade wszystko, wina, nieprzyzwoicie wręcz drogiego? Nie? To co tu bajać o zmianie proporcji, skoro i tak wódka będzie się „kalkulowała" znacznie taniej, nawet gdyby kosztowała pięćset złotych. A do takiej wysokości przecież podnieść ceny nie sposób.

Wygląda na to, że po prostu nastąpiła zwyczajna podwyżka cen pod pięknymi pozorami. No, cóż, przybędzie za to trzysta łóżek dla nałogowców. Na siedemset tysięcy...

PIOTR KUNCEWICZ



Rysunek Antoniego Kowalskiego

czas

W smutnym filmie Krzysztofa Kieślowskiego „Spokój", wyświetlonym niedawno w telewizji, była scena rozstania bohatera z kochanką, starszą już kobietą, u której zamieszkał po opuszczeniu więzienia. Ich wzajemny stosunek, oprócz normalnej — między dojrzałą kobietą i pozbawionym możliwości spełnienia seksualnego mężczyzną — zmysłowości, wypełniało także coś ciepłego, dobrego i tkliwego: jej ciepło było opiekuńcze, jego tkliwość dziecięca. Jest to poniekąd do wytłumaczenia; ona bardzo już dojrzała, on, dużo młodszy — po więziennym nieistnieniu — zaczyna stawiać pierwsze kroki w świecie, przyjmując każdą dobrą rękę. W każdym razie bohater wyrasta, dorosleje, spotyka dziewczynę „dla siebie", więc zamierzają się pobrać; niezręcznie mu trochę, lecz mówi o tym swej „kochance-matce". Jej reakcja: spokojna świadomość swego czasu. Mówi mu, że był ostatnim jej mężczyzną. Nie w tym sensie, że — jak to u pensjonarek — nie potrafi pokochać innego, bo tylko on się liczy itd. Spokojna, podszyta rozpaczą, świadomość kobiety wzięła się z bardzo realistycznego rozpoznania natury istnienia i swego obecnego miejsca w tym istnieniu: wie mianowicie, że z nikim już nie pójdzie do łóżka, ba jest na to po prostu za stara. W tym sensie, w jakim była kobietą, przestała już istnieć. Czy można istnieć poza własną płcią? Oczywiście, można, ale jest to już coś wyraźnie innego: coś tu się zmieniło, coś się skończyło. „Koniec" — słowo straszne jak śmierć.

Właściwie jest tak, jakbyśmy gdzieś starali się je odepchnąć; mówimy — oczywiście — o końcu tak właśnie pojętym, lecz w sposób, by tak rzec, beztroski, pozbawiony samowiedzy, wyprany z refleksyjności. Słucham akurat sprawozdawcy sportowego, mówiącego o kimś: jako zawodnik — sportowiec ten już się właściwie skończył. Po chwili sprawozdawca chce się trochę poprawić, więc mówi rzecz jeszcze okropniejszą: zawodnik ten jeszcze się nie skończył, skoro kopie piłkę, lecz się kończy właśnie, i już niewiele — rok, dwa lata — mu zostało tej kwękającej piłkarskiej starości. Czy te bezmyślne, zrutynizowane i nie dotykające jakiejkolwiek rzeczywistości zwroty wypełnią się taką, na przykład, refleksją, że dla „kończącego się" zawodnika sport stanowi istotną treść życia? Pozbawione tej treści kończy się i życie samo. Oczywiście, pozostaje istnienie biologiczne, jakaś zastępcza aktywność, do której przecież można się przyzwyczaić.

Umiera smakosz i miłośnik sytego jedzenia, niechby i żarłok: umiera wtedy, gdy stwierdzi, że już nie może jeść golonki albo bigosu ociekającego tłuszczem. Nie dlatego, że w sklepach brakuje tego jedzenia; ta śmierć, o której mówię, swą metafizykę czerpie z ludzkiej biologii: oto niedołężna już wątroba wydała ów, kończący coś nadzwyczaj istotnego dla tego człowieka, zakaz.

Mężczyzna (choć mogłaby to być także kobieta) znajdujący pewien sens w oszołomieniu, jakie daje pierwsza setka wódki, szukający ucieczki przed szaleństwem w drugiej setce, człowiek biorący się wcześniej za bary ze światem, lecz nie pijak przecież, też napotyka taki swój moment, gdy jego gęste życie, a w tej gęstwinie szklanka wódki, sprawią, że w pewnym momencie wolniej zabije mu serce. Ocknie się raptem w szpitalu, gdzie mu powiedzą, że to wódka winna; pewnie ona, zgodzi się z lekarzem, koniec z wódką, i ta pierwsza u niego uległość oznaczać będzie koniec czegoś większego aniżeli butelka: życia o dużym ciężarze właściwym, gęstego, z którym był często w zapasach.

W tzw. myśleniu potocznym wyrażenie „życie" nie oznacza istnienia biologicznego, nie redukuje się do jakiejś tam „formy istnienia białka"; czyli wegetacja: to b y c i e. Chodzi tu już zatem o istnienie pełne, nieważne nawet, czego konkretnie; musi być pełne czegoś psychicznego, co ma jakieś znaczenie, sens; jest takie, że potrafi sobą wypełnić głowę bardziej niż pokarm żołądek — choć sam ten pokarm też może mieć znaczenie, też wypełnić głowę. Tak rozumiane życie doczekuje się pochwały w codziennym języku, gdy stwierdzamy, że lepsze krótsze, a ciekawsze; gdy mówimy, na przykład: „teraz dopiero wiem, że żyję" — choć istnieliśmy dużo wcześniej.

Wypełnione różnymi przypadłościami, wartościami i znaczeniami życie staje się coraz cieńsze, coś się od niego co chwilę odrywa, coś pozostaje z tyłu; jest coraz uboższe, każdorazowo inne. Żyjąc biologicznie w raz określonym okresie — umieramy wielokrotnie jako ludzie. Nie ma bodaj dnia, w którym nie moglibyśmy stwierdzić, że coś się w nas właśnie skończyło, troszeczkę znowu umieraliśmy.

To jest właśnie czas. Świadomość czasu, świadomość trwania i przemijania powodują, że ten oto wymiar staje się istotą życia ludzkiego. Wymiar przeklęty, gdy dobrze go sobie uświadomić, a zarazem jednak jedynie rzeczywisty. Istnieje tylko czas.

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

refleksje

o ten płot



o tę drogę

Działka — wymarzone miejsce na siedlisko — wrzynała się między olszynę a górę, porośniętą lasem. Poszedł dziadek Mieczkowski (wówczas po prostu Julek) do wuja Rupińskiego, niech mu z niej sprzeda 18 arów. Bardzo mu się chciało tej działki, skoro nie tylko pieniędzmi za nią płacił. Oddać też musiał ostatni kawałek smugu na wujową budowę.

Dzisiaj, kiedy zachodzi potrzeba, wyciąga dziadek Mieczkowski zza pieca starą rurę i wysupłuje z niej strzępy planów: — O, tu! Tak i tak podzielili.

A plany stare, z 1927 roku. Wyraźnie tam zaznaczył geometra posiadanie Rupińskiego. Jeszcze teraz obliczyć można, co zostaje, jak się z tego 18 arów odbierze. Dziadek Mieczkowski tłumaczy to wszystkim ważniejszym gościom, którzy zechcą pod jego dach zawitać. Byli tu niedawno i naczelnik, i sekretarz partii. Oni też nie mogli odpowiedzieć, jak to możliwe, że nie sprzedał ani centymetra ziemi, a od roku 1933 ubyło mu dwa i pół ara. Sąd niczego nie wytłumaczył, a Mieczkowscy sprawę przegrali. I skargi jakoś nie skutkują.

Ten ostatni dziesiątek lat taki czemuś nerwowy. Z sąsiadami na początek poszczęściło się niby. Za płotem rodzina, siostra żony Juliana; nie całkiem wprawdzie rodzona, bo z drugiej matki, ale ojciec ten sam, więc i krew ta sama... Szwagierka Kazimiera wyszła za Hieronima Pachuckiego. Hieronim z Julianem wytyczyli granicę (jeszcze przed wojną). Płot postawili porządny, kamienny. Tylko ten płot ich dzielił, ale to była granica pokoju. Mieczkowscy i Pachuccy razem pili, świętowali, w razie potrzeby — pomagali sobie wzajemnie w pracy.

Przybywało z latami budynków, dorastały dzieci. Kiedy staremu Mieczkowskiemu podrosły i wnuczki, z synem Antonim uradzili, że postawią nową chałupę. Dużą, murowaną. Jakoś podczas roboty nie zmieścili się na swoim i weszli 3,5 metra na ogólne. Nie miałby też i Pachucki dojazdu do domu, gdyby nie to, że Mieczkowscy i płot kamienny w rozpędzie rozebrali, bo na budowę kamień im był potrzebny. Potem jednak namyślili się czemuś i nowy zaczęli stawiać, ale już drewniany. I zaraz awantury się rozpętały o ten płot, urzędowo nazwane — sporem granicznym. Jedni nie dawali nic uronić ze swego posiadania, drudzy chcieli zachować jedyny dojazd do siedliska. Inaczej chyba górę musieliby rozkopywać, a to raczej nie było na ich siły.

Kłócili się, kłócili, w końcu poszli po rozum do głowy. Zaczęli się godzić. Rozpoczęli w roku 1973, zakończyli w 1974. W ziemię wpuścili pale żelazne, po wierzchu oznaczyli kamieniami. Mieczkowscy odstąpili Pachuckim róg siedliska, za co — w rekompensatę — dostali pięć arów łąki, porosłej olszyną, na uroczysku Kaleta. Zgadywać tylko można, jaki nieoczekiwany urok padł na geometrę Skupińskiego, skoro zamiast ugadanego metra osiemdziesiąt — wykroił rogu na dwa czterdzieści. Takiej niesprawiedliwości Mieczkowscy darować nie mogli. Poszli do sądu. Procesowali się Antoni i Lucyna z córką Hieronima, Ireną, i zięciem, Tadeuszem Bagińskim; dzielnie sekundowali im w tym starzy. Wówczas i tak jeszcze umiarkowanie, bo po śmierci Hieronima poszli już „na noże i kije". Zacietrzewili się Mieczkowscy, i to tak dalece, że zgodę dobrowolną uparli się zerwać, płoty przestawić, a olszynę z uroczyska zwrócić. Zresztą drzewa na nim niepewne jakieś się okazały, bo niby Mieczkowscy ich nie ruszali, Bagińscy nie kradli, a niektóre znikały.

W sądzie gadano ciemno i zawile. Niewiele pojmowali chłopi z uczonej dyskusji mecenasów, zdarzyło się więc, że czasem nie tam, gdzie trzeba, przytaknęli. Skutki dla jednych okazały się dobre, dla drugich fatalne. Mecenas Koziołowa zwyciężyła, co nadszarpnęło jej autorytet u strony przeciwnej; sędzia potraktowany został bez pobłażania. Wyrok jednak zapadł. Rozpisano nowe akty własności. Mieczkowscy zaktywizowali się na szczeblu wojewódzkim i centralnym. A tymczasem coś się porobiło z działkami. Były ongi o numerach 100, 101, 102, aż tu nagle setna zaczęła się łamać. I stało się, że 100/2 oznaczała osiemnaście arów Mieczkowskiego, 100/4 wskazywała sporny ar, który sąd uznał za integralną część 101 (sic!), a więc należało ten ar odjąć od 100/2, żeby otrzymać w rezultacie 100/3 Mieczkowskiego — o wielkości siedemnastu arów. Powstało w ten sposób równanie z dwoma niewiadomymi: 1) dlaczego jakiś ar działki 100 jest integralną częścią działki 101?, 2) gdzie jest pozostałe półtora ara Mieczkowskiego? Równanie to zostało przez sąd rozwiązane. Nie wszyscy jednak to rozwiązanie uznali za wiążące. Strony do tej pory przeprowadzają na własny rachunek dowody prawdy.

Najsilniejszym argumentem przetargowym jest groźba użycia siekiery nie tylko do rozwalenia płota. Na Bagińskich działa to silniej niż wizja ognia piekielnego na starą Puchacką. Jako żywo mają oni w pamięci wypadki sprzed lat czterech, kiedy to Mieczkowski srogo potraktował Bagińskiego pustakiem, na co Bagiński posiada stosowne zaświadczenie lekarskie. W podjazdach jednak nie ustają ani jedni, ani drudzy. Tak oto wygląda umiarkowanie fermentująca wymiana poglądów, dokonywana w obecności gości z województwa.

JULIAN MIECZKOWSKI: — O ten płot się rozchodzi i o tę drogę. On mnie prosił, co bym ja mu dobrowolnie odstąpił. Syn nie chciał. Ja mówię mu: „Słuchaj, Antek, o ten kawałek?! Gdzie on będzie jeździł?" Odmierzylim od tego pola i zakopalim z Pachuckim słupek.

ANTONI: — Nowa granica miała być tylko takim rogiem. W 1978 geodeci zakopali pale. Pan inżynier mówił tak: „Tutaj wam się należy metr osiemdziesiąt, a tam macie granice normalne, jakieście mieli". A potem gada, że w drogę nam weszli dwa metry. Wychodzi, że cztery metry osiemdziesiąt trzeba mi tu naddać.

KAZIMIERA PACHUCKA: — Sobie naddasz, a mnie dojazd do chałupy odetniesz. Ty masz trzy, a ja ten jeden.

ANTONI: — Toć ja ci się nie sprzeciwiam tego roga dać. Tam mi potrzebna granica, a tutaj ja ci nie żałuję. Ale gdyby zaszła taka instytucja, gdyby mnie tak przyszło, to ty byś mnie nie dała.

K.P.: — My na twoje za ugodą weszli, a ty chcesz nam siłą odebrać. Ja żebym twoje miała, tobym ci zaraz oddała, gangreno ty jedna.

LUCYNA MIECZKOWSKA: — Szczekasz jak suka i rękę mnie pogryzłaś jak suka.

K.P.: — Ty akurat masz dużo do gadania, jak się starzy dzielili.

ANTONI: — Ojciec to mu może dał 15 metry. Więcej mu nie dał. Prędzej by sobie oko wyjął. Tylko wyjazd mu udogodnił. Wzdłuż. Ale żeby ojcu głowę ucinali, toby nie oddał więcej.

K.P.: — To czemu się godził przed urzędem? Czemu ugodę spisali?

ANTONI: — Ugody chciał, a nie żeby go okradli. Ale czy ojca chcieli słuchać? Pana Rupińskiego chcieli? Jak dzielili, Rupiński mówił: „Panie inżynierze, tu źle pan tyczy". A ten, że go nie wołał do pomocy. Rupiński mu znowu: „Panie inżynierze, właśnie z mojej działki jest to siedlisko, ja mam prawo, bo ja wiem, gdzie granica jest". A ten mu tylko: „Nie będziecie mnie tu uczyć. Na kolegium was podam".

WNUK: — To geodezja skręciła.

ANTONI: — Ojciec do geodezji poszedł, tam tych jego zeznań nie było. Tylko to, co oni sami stalili. Na zeznaniach też tak stalim, jak pod karabinem. Kiedy na ojca krzyknęli, to on już nic nie miał do powiedzenia. A teraz taka się dla nas zrobiła krzywda. Chłopaka mam, dwadzieścia lat, chce gospodarzyć, i gdzie się rozbuduje, jak te diabły rogate ziemię naszą zagarnęli? Bydło stoi w stodole, jedno na drugim. A ci jak się pobudowali! I drugie siedlisko jeszcze we wsi mają.

IRENA BAGIŃSKA: — Ale tu my się pobudowali! Czemuście wtedy pretensji nie wnosili?! Ja się na tym nie wyznaję, ale papiery mamy wszystkie dobre.

ANTONI: — No, widzicie państwo, jakie mają obszary, a oni na takie krzywde, na te łzy, co ojciec... Ojciec ostatni kawałek paśnika oddał za siedlisko. Nie miał gdzie nawet tej krowy wypasać. Ja pokażę, jakie oni mają we wsi... jakie zbrodnie popełniają. A ten Urząd Wojewódzki gdzie ma oczy i sumienie tak człowieka krzyżować. Oni w ogóle nie są ludźmi, bo ja się do nich zwracałem...

I.B.: — Ja też się zwracałam. Mam 17 hektary, 27 lat mąż, a ja 25. Oni mają trzy wjazdy, a ja jeden. Ja mam wszystkie papiery i dokumenty. A wyście, cholery nienapasione jedne, Kaletę zabrali i jeszcze mało. Dawalim za ten ar 10 tysięcy, a oni kazali 100 tysięcy płacić. To ile jeden hektar by wyniósł? Milion złotych!

ANTONI: — Bóg cię ukaże za te łzy moje.

I.B.: — Niech karze. Tak młodym rolnikom pomagają.

ANTONI: — A mnie to chciałaś wsadzić do więzienia. Do wszystkiegoś zdolna. Ile adwokatce zasadziłaś, powiedz?

I.B.: — Udowodnij, że ja coś zasadziłam, udowodnij!

ANTONI: — Wszystkoście chcieli ochłanąć. Pachuckich gospodarkę ochłanęli, to coby mieli adwokatce żałować.

I.B.: — Papiery nam wojewoda dał, z Warszawy nam dali, w ministerstwie, wszędzie dali... Wy macie trzy wjazdy, a my — jeden. Ja mam sześć, a mąż osiem klas. Gdzie ja pójdę? Ulice zamiatać? A mąż? On nie ma już zdrowia budować gdzie indziej, bo niezdatny.

K.P.: — Panie, ja nie chcę piekła. Na co te bójki?! Pasyjkę mieli przynieść, żeby przysięgać na to, czy zamienialim, czy nie. Ja choćby na śniegu by ją całowała. Ale nie przynieśli. I dlaczego innych świadków nie zawołają, tylko rodzinę? Tylko tych, co mają do nas złość?

ANTONI: — Ja wam tego roga nie żałuję. Ale mi zabrać i siedlisko, i Kaletę...

I.B.: — W umowie tak stoi, że działka się na działkę zamienia.

ANTONI: — Akurat, działka na działkę.

I.B.: — Jeszcze ci mogę dopłacić.

ANTONI: — Co to dla mnie znaczy 10 tysięcy podług mego życia i siedliska. Ja następcę mam i on musi się tu rozwijać. A się tu dusi.

WNUK: — Ty se myślisz, że jeno wy, młodzi rolnicy, i jeno wam się należy pomoc od państwa. Tyś się już upasła, że ledwo chodzisz. A ty, kobieto, nie buntuj, bo ci ten ozór wytnę. Stara już jesteś, śmierci powinnaś się bać. Cię, potworo, w smole palić będą!

Trwają te wojny podjazdowe, głośne kłótnie i ciche kombinacje, i nic jakoś nie zapowiada rychłego ich zakończenia. Śmieją się ludzie z tej rozpaczliwej zajadłości, tylko zainteresowanym jakoś nie do śmiechu. I sołtysowi, który przemyka między opłotkami, wylękniony jakiś, niepewny. Raz wdepnął w tę sprawę, a ta odbija się mu i odbija. Zachciało się mu rozjemstwa, to teraz ani tym, ani tamtym dogodzić nie może. Powie tak — zły dla jednych, powie inaczej — zakrakują go drudzy. Przemyka więc ukradkiem do chlewa czy obory, byle nie wyśledziły go dokuczliwe spojrzenia. Bo inaczej — stracony.

Zapadł jeden, drugi, zapadnie i trzeci wyrok. I nikt nie wytłumaczy Mieczkowskim, że prawo stoi za Rogińskimi; że mogli tamci dać adwokatce choćby najtłustszego wieprza, a geodeta mógł nawet schrzanić pomiary. Bagińscy siedzą na tym spłachetku od roku trzydziestego trzeciego. Aż nadto, by — zgodnie z prawem — nabyć do niego prawo przez zasiedzenie. Ale Mieczkowscy mają na to własny punkt widzenia: i tak kiedyś rozwalą ten płot.

Zachodzi mgłą uroczysko Kaleta. Dziadek Mieczkowski chowa za piecem sfatygowane plany. Okaleczona ta jego działka, oj, okaleczona. Gdzieś niedaleko, chyba w sąsiedniej, a może w następnej wsi tłuką się baby o kilka jaj. Jutro sprawa trafi pewnie do sądu.

DANUTA I ALEKSANDER WRONISZEWSCY
Fot. DANUTA WRONISZEWSKA

obyczaje

brat naszego Boga

KAROL WOJTYŁA

11

BRAT STARSZY: Zaczynam już coś pojmować. Ale czego spodziewa się pan dla siebie od nas?

MŁODY CZŁOWIEK: Widzi brat — to jest mniej więcej tak — muzykę sprawdza się głębokim wewnętrznym milczeniem wszystkich nie umuzykalnionych odbiorników naszej świadomości — przy równoczesnym nasileniu wrażliwych ośrodków — Wiarę, która się chwieje, trzeba ocalać podobnie. Trzeba szukać odnośnych ośrodków. Wrażliwych, tętniących jej siłą.

BRAT STARSZY: I to pana sprowadziło do nas?

MŁODY CZŁOWIEK: Tak.

BRAT STARSZY: Jak panu na imię?

MŁODY CZŁOWIEK: Hubert.

BRAT STARSZY: Więc dobrze, Hubercie. Pozostanie pan wśród nas przez jakiś czas. Potem wybierze pan.

HUBERT: Już wybrałem.

BRAT STARSZY: Nie koniec na tym. Niech pan nie zapomina, że nie my wybieramy. My tylko zostajemy wybrani —

HUBERT: Tak.

BRAT STARSZY: I tego jest pan również pewny?

HUBERT: No właśnie. Czy tego można być zupełnie pewnym? Tu można tylko szukać, trafiać...

BRAT STARSZY: Zdaje mi się, że jest pan bardzo zmęczony, Hubercie.

HUBERT: O tak.

BRAT STARSZY: Musi pan odpocząć.

Hubert milczy.

BRAT STARSZY: Pan zajmował się wiele muzyką, prawda?

HUBERT: Tak, dawniej. Skąd brat o tym wie?

BRAT STARSZY: Nietrudno rozpoznać. Pan myśli i ocenia z punktu widzenia muzyki.

HUBERT: Tak. Szukałem przejść dla siebie od tamtej strony. Na próżno.

BRAT STARSZY: Zapewne. Dostęp bywa trudny.

HUBERT: Brat twierdzi w ten sposób. Oczywiście. Brat starszy zna te sprawy lepiej niż ktokolwiek inny. Dlatego właśnie przyszedłem tutaj —

BRAT STARSZY: No —

HUBERT: Była przecież taka chwila w życiu brata, kiedy znajdował się wobec konieczności podobnych rozstrzygnięć.

Chwila milczenia. Hubert z napięciem oczekuje odpowiedzi.

BRAT STARSZY *(mówi bardzo powoli, znać wysiłek):* Niczego niepodobna wnosić z tej pozornej analogii.

HUBERT: Brat starszy mówi: pozornej, czyż raczej nie uderzającej?

BRAT STARSZY: Nie!

HUBERT: Nie?

BRAT STARSZY: Nie wolno sądzić po zjawiskach. Pamiętasz, jak stary Izaak pomylił się, źle wybrał między Jakubem a Ezawem. Nie wolno sądzić po tych pokrowcach, w które przyodziewa się czyjeś życie. Tu chodzi o to, czy pan jesteś wybrany...

BRAT STARSZY: Naprzód trzeba mieć całkiem nowe widzenie świata. Pan go nie ma. Bo to różnica, mój drogi panie, to jest różnica. Co innego sądzić świat wedle tych miar, którymi zbiegają się i rozchodzą tonacje — jest to ogromnie ciekawe, ogromnie piękne i wzniosłe — ale co innego widzieć świat w wymiarach nędzy i upodlenia, i wiedzieć, ale to wiedzieć dokładnie, gdzie z tym wszystkim spotyka się Bóg, jaka nędza Go do ludzi przybliża, a jaka od nich oddziela.

HUBERT: Zdaje się, że to umiałbym ocenić.

BRAT STARSZY: Czym? Zawiedzionym widzeniem muzycznym? Czy pan przynajmniej wie, jaka jest ta najprawdziwsza nędza człowieka przed Bogiem?

Chwila milczenia.

Tej nędzy nie wolno szukać na krańcach człowieka, na jego peryferiach. Znajduje się ona u niego w tym dokładnie miejscu, skąd rozpoczynać się powinno najwyższe jego wyniesienie.

HUBERT: Tak. Przeczuwam, o co bratu chodzi. Wymowa przeciwieństw.

STARSZY BRAT: Stąd to pochodzi, że my zwyczajnie źle oceniamy... miłosierdzie i krzywda mają w rzeczywistości inne znaczenie i gdzie indziej się zaczynają niż się na ogół przypuszcza...

Ale na to potrzebne jest właśnie to widzenie. Jeśli go brak, będzie się ciągle popełniać głupstwa. — Pan go szuka, nieprawda?

HUBERT: Sądzę, że tak. Dziwna rzecz: to rozbija moje życie i to je równocześnie scala.

BRAT STARSZY *(milczy przez chwilę. Potem zupełnie niespodziewanie):* No a co będzie z twórczością?

HUBERT: A jak brat myśli —

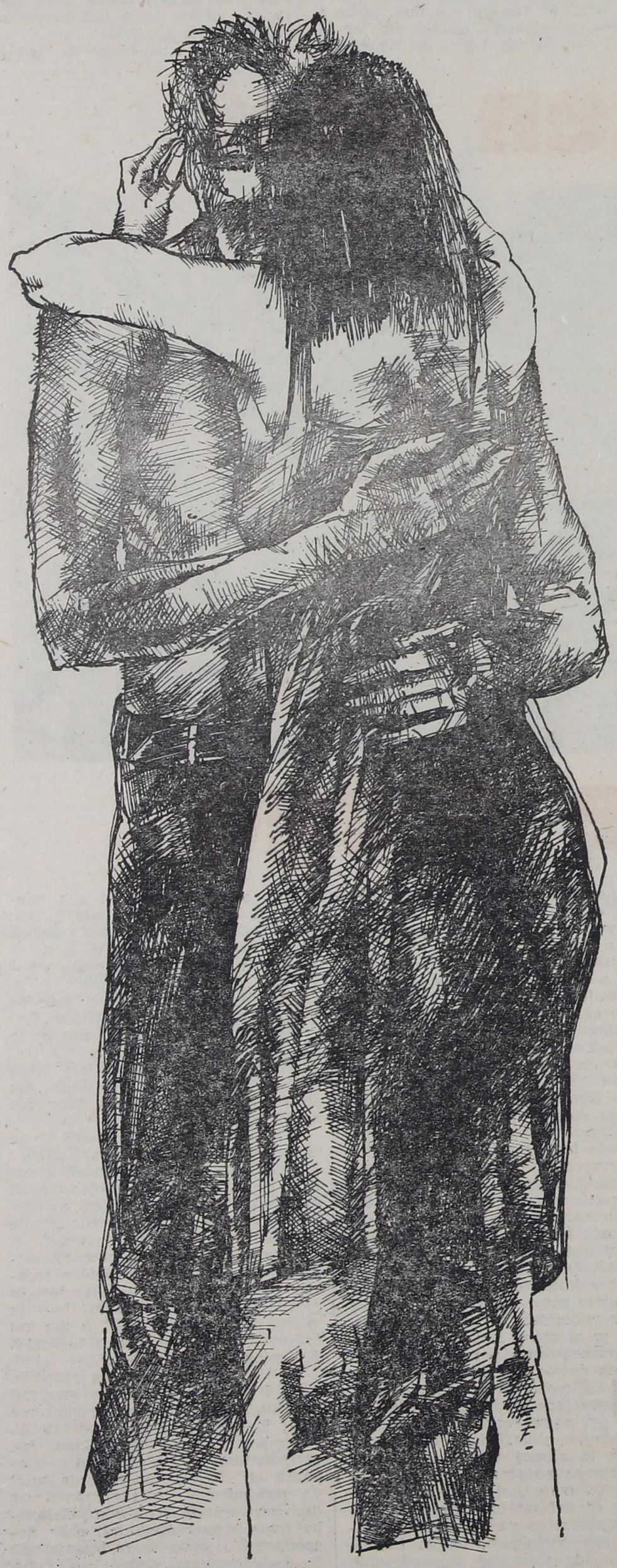
BRAT STARSZY: Bo widzi pan — tu jest całkiem inna twórczość. Jakżeby to panu wytłumaczyć — widzi pan — całkiem inaczej rozkładają się współczynniki surowca, talentu i trudu.

HUBERT: Nic nie wiem, nic nie wiem. Jestem w mroku.

BRAT STARSZY: To by jeszcze samo przez się nic nie szkodziło.

HUBERT: Proszę mi dopomóc.

BRAT STARSZY: Biedny chłopcze, zdaje mi się, że szukasz rozwiązań zbyt śmiałych. Nie wolno się tak przerzucać, trzeba pozwolić, aby to narastało powoli. Trzeba cierpliwości. — Bo ja nie wierzę, oczywiście, aby groziła panu naprawdę utrata wiary. Niemniej szuka pan mocnych podniet. I to — nie w sferze uczuciowej, ale w sferze rzeczywistości. To bardzo dobrze.



Rys. Stanisława Kędzielewskiego

HUBERT: Tak? Brat starszy chce mnie uspokoić.

BRAT STARSZY: Widzisz, sprawa twoja nie jest łatwa. Wiele rzeczy jeszcze nie dojrzało. Właściwie raczej jesteś jeszcze po tamtej stronie. Coś jednak cię wyrywa...

HUBERT: Brat to dobrze określił.

BRAT STARSZY: Wiem, wiem. Ciągle jednak nie jestem pewny.

HUBERT: Czego?

BRA STARSZY: Twego widzenia.

HUBERT: Jakiego widzenia? Brat starszy ciągle wspomina o jakimś widzeniu.

BRAT STARSZY: A tak. Bywa przecież, że długo chodzi się w mroku.

HUBERT: Właśnie tutaj przyszedłem po światło.

BRAT STARSZY: Tak, tak. Boję się jednak, byś pan nie oślepł... Bo tu jest całkiem inna twórczość, całkiem inna. Skoro więc tamtej nie stanie, a ta nie dojrzeje — będzie ogromnie ciemno, ogromnie ciemno. Nie wiem, jak długo to może trwać.

HUBERT: Ależ co? Brat chyba sądzi po sobie.

Przerwa w dialogu. Przez chwilę nie ma odpowiedzi.

HUBERT: Bracie starszy, jeżeli brat mi nie pomoże, to któż?

BRAT STARSZY: Właśnie ja chcę panu pomóc.

HUBERT: Dziękuję.

BRAT STARSZY: Niech pan sobie nie wyobraża, że to znaczy: zostań na stałe wśród nas.

HUBERT: Nie? A co to znaczy?

BRAT STARSZY: To znaczy raczej: szukaj w dalszym ciągu.

HUBERT: Dlaczego?

BRAT STARSZY: Nie powiem panu. Nie potrafię odpowiedzieć panu w całej pełni, a jednak — tak.

HUBERT: Szukaj w dalszym ciągu. Ale czego? Szukałem chyba dość. Szukałem wśród tylu prawd. Przecież te rzeczy mogą dojrzewać właśnie tylko w ten sposób. Filozofia... sztuka... Prawdą jest to, co ostatecznie wypływa na wierzch jak oliwa w wodzie. W ten sposób życie odsłania nam ją — powoli, częściowo, lecz ciągle. Prócz tego jest ona w nas, w każdym człowieku. Tam właśnie zaczna przylegać do życia. Nosimy ją w sobie, jest w jednym, w drugim, w setnym człowieku. Co to jest prawda, gdzie się znajduje?

Życie składa się z ludzi, którymi szeroko upływa, jednocząc się u swego wyjścia nowym poziomem światła w rozwartych źrenicach. Tak, tak... istnieją po prostu ludzie zjednoczeni z Prawdą, którzy nie wychylają się z jej orbit, ale wewnętrzną równowagą trwają w jej objęciach.

BRAT STARSZY *(milczał przez chwilę. Wreszcie odpowiada):* No właśnie. Powinien pan tego szukać jeszcze o własnych siłach. Takiemu jak pan nie wolno skracać drogi — ani —

HUBERT: Ani?

BRAT STARSZY: — — ani zbyt jej ułatwiać.

HUBERT: Więc odmawiacie mi, bracie starszy.

BRAT STARSZY: Odradzam. Skądże ja mogę wiedzieć, czy dojrzeje w panu to samo, co we mnie? Dotąd jest tylko mrok. Przy tym szukanie po omacku.

HUBERT: Przecież w ten sposób skazujecie mnie na dalszą poniewierkę.

BRAT STARSZY: To nic nie szkodzi. Trzeba zresztą, abyś zubożał.

HUBERT: Jak to? Skoro już tyle straciłem.

BRAT STARSZY: To niczego jeszcze nie dowodzi. *(Po chwili):*

— A przy tym — trudno pomyśleć, ażeby dwóch ludzi miało iść tak blisko siebie tą samą drogą. Czy to by godziło się z Jego bobactwem? Pan Bóg bogaty jest w swoich drogach.

HUBERT: Czy to już cały powód?

BRAT STARSZY: Nie wiem. Powodu właściwie nie ma. Ale wiem, że powinien pan stąd odejść. Wzywają cię dokądinąd.

HUBERT: Dokąd?

BRAT STARSZY: Te sprawy wyjaśniają się od wypadku do wypadku. Czasem w ciągu godziny.

Przerwa. Chwila milczenia.

HUBERT: Od dłuższej chwili narzuca mi się pewna myśl. Jest uporczywa.

BRAT STARSZY: Proszę powiedzieć...

HUBERT: Przyszedłem do was, bracie starszy, pewny, że nikt inny nie rozstrzygnie tak moich trudności jak wy. Przecież przebiegają tak blisko waszego życia.

BRAT STARSZY: To o niczym nie świadczy. No — ale co?...

Cdn.

nstytucja kontroli prasy i wydawnictw na ziemiach polskich jest prawie tak stara, jak sama prasa. W wiekach XVI i XVII, gdy działalność informacyjna uprawiana była przy okazji innych zajęć, cenzura miała charakter społeczny. Dziennikarza podającego wiadomości bałamutne czy nazbyt przemądrzałe powszechnie potępiano. Ukuto nawet, powtarzane przez całe wieki, powiedzenie: „Gazeta nie ambona, gazeciarz nie ksiądz!"

W latach 1661—1795, gdy prasa stała się przedsiębiorstwem produkującym towar zwany informacją — aparat państwowy „wyprodukował" instytucjonalną formę kontroli jego działalności; formę doskonaloną w miarę poszerzania się i zwiększania skuteczności informacji prasowej. Konflikt między tymi instytucjami zawsze polegał na tym, że dzienniki, tygodniki, miesięczniki, ze względów etycznych czy handlowych, zawsze chciały informować o czymś więcej, niż to było wskazane ze względu na interes aparatu państwowego, natomiast cenzura zawsze tego interesu bezwzględnie broniła. O jakiejkolwiek formie kompromisu nie mogło być mowy.

Dekrety urzędowe rodziły się bardzo długo. Urzędnicy, w obawie przed pomyłką, popełniali zwykle kardynalne głupstwa, Zanim projekt zarządzenia czy okólnika — po wędrówce z biura do biura — trafił do społeczeństwa na forum parlamentu, tego, co miał normować, już zwykle nie było. Przestało istnieć albo uległo przekształceniu.

Pomiędzy autorami a kontrolą istniały też nieporozumienia na tle moralnym. Cechy, za które dziennikarz bywał chwalony, pozbawiały pracy niejednego urzędnika.

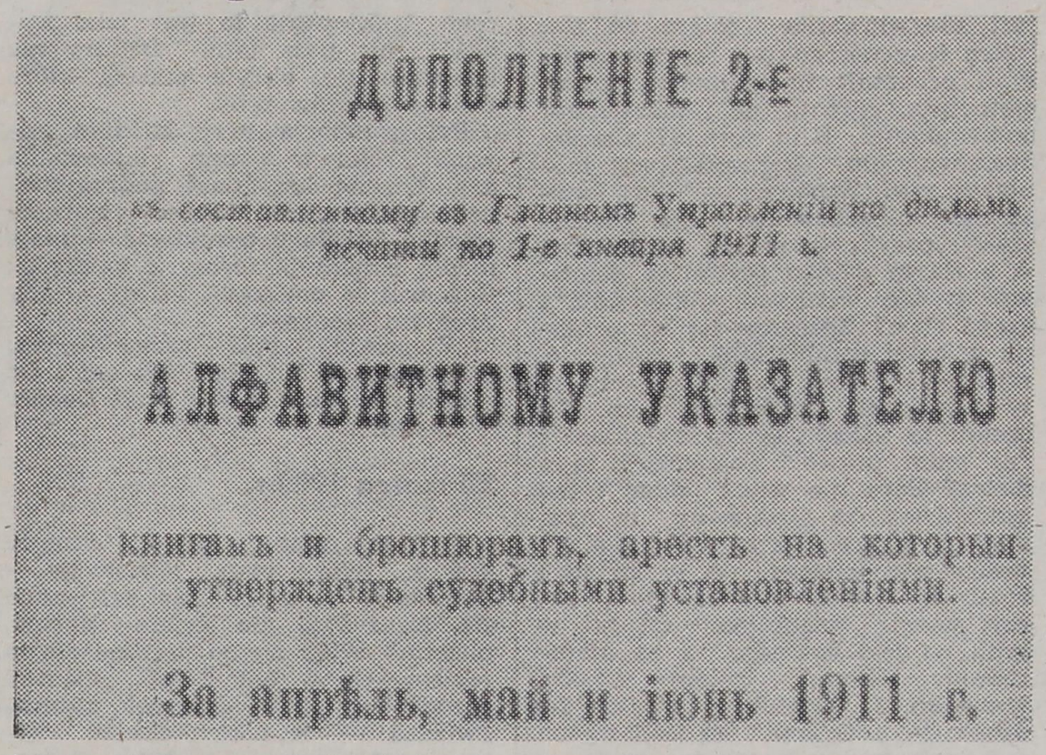
W roku 1795 utraciliśmy niepodległość. Władze Prus, Rosji i Austrii stworzyły cały system ułatwień dla wejścia na nasz rynek czytelniczy gazet w języku francuskim i niemieckim. Wprowadziły zasady debitu, wysokie kaucje dla podejmujących inicjatywy wydawnicze Polaków i tzw. stempel prasowy. Piszemy o tym dlatego, iż wielu ludzi dotąd jeszcze uważa, że kontrola prasy polega tylko na skreślaniu tego, co wymyśli twórca.

Po Kongresie Wiedeńskim zaborcy „odkręcili" nieco wentyl prasowy, służący do zmniejszania napięć społecznych. Przykręcono go ponownie po serii powstań w latach 1830, 1831, 1833, 1846, 1848. A szturm Pragi, który zakończył Powstanie Listopadowe, był początkiem okresu bardzo trudnego dla polskojęzycznej prasy Królestwa Polskiego. Aż do śmierci Iwana Paskiewicza obowiązywała tu cenzura wojenna.

Nie przeszkodziło to jednak w rozwoju techniki druku, kolportażu, organizacji prasy. Pozwoliło na bardzo szybkie przekształcenie — gdy zaistniały ku temu warunki — wydawnictw prasowych w przedsiębiorstwa kapitalistyczne. Dziennikarstwo stało się zawodem. Wzbogacono serwisy informacyjne, wprowadzono uliczną sprzedaż gazet, reklamę — jako źródło finansowania. Urozmaicono formy informacji; zaczęły się ukazywać felietony, kroniki, reportaże, sprawozdania parlamentarne. Numery podzielono na działy, rubryki itp. We wprowadzeniu nowości i nowinek przodowały „Gazeta Warszawska" i „Dziennik Warszawski".

W odpowiedzi na te zmiany cenzura również się unowocześniła. Zakazom i nakazom nadano moc prawa państwowego. Powołano służby specjalizujące się w nadzorze. Już w roku 1862 uprawnienia Głównego Zarządu Cenzury w Petersburgu przekazano ministrom Oświaty i Spraw Wewnętrznych; przystąpiono również do prac nad nowymi zasadami funkcjonowania tego systemu. W trzy lata później Aleksander II zatwierdził „ukaz" powołujący Główny Zarząd Cenzury, który nadzorował pracę ogniw terenowych. W dniu 17 września 1869 r. scentralizowanym urzędom przekazano: cenzurowanie wszystkich dzieł wydawanych na terenie Królestwa, cenzurowanie czasopism sprowadzanych z zagranicy, nadzór nad drukarniami i litografiami. Decyzję o prawie wydawania zezwoleń na działalność prasową pozostawiono w kompetencji ministra Spraw Wewnętrznych. Utworzono Stanowiska redaktorów odpowiedzialnych. Funkcje te mogli piastować tylko ludzie „nie budzący zastrzeżeń". Cała prasa podlegała cenzurze prewencyjnej, której przepisy mówiły,

książki w areszcie


ДОПОЛНЕНІЕ 2-Е

къ систематическому по Главному Управленію по дѣламъ печати по 1-е января 1911 г.

АЛФАВИТНОМУ УКАЗАТЕЛЮ

книгамъ и брошюрамъ, арестъ на которыя утвержденъ судебными установленіями.

За апрѣль, май и іюнь 1911 г.

że w zatwierdzonych tekstach nie wolno niczego zmieniać.

Na ziemiach polskich cenzura była również narzędziem kontroli państwowej. Interes państwa stanowił tu wartość nadrzędną. Gdy państwo zmieniało niektóre cechy „swego charakteru" — na przykład: po objęciu tronu przez innego władcę — radykalizowała się lub liberalizowała cenzura. I tak Aleksander III wprowadził zasadę informowania redakcji specjalnymi okólnikami o tym, jak rząd zapatruje się na daną kwestię, a te musiały je uwzględniać pod groźbą sankcji. Zabraniano m.in. redaktorom pisania o ustroju państwowym Rosji, o konstytucji, tendencjach w rozwoju klasy robotniczej.

Na podobnych zasadach funkcjonowała cenzura w zaborach pruskim i austriackim. Identycznie pracowali jej funkcjonariusze: gdy nie byli pewni, czy coś jest słuszne — skreślali. Przodowali w tym zwłaszcza ludzie zatrudnieni w podległych policmajstrom komórkach gubernialnych. Stąd „gazety centralne" Lwowa, Poznania, Warszawy, Krakowa, Wilna, wychodzące pod patronatem urzędów znajdujących się najbliżej decydentów, miały treści bardziej radykalne niż prowincjonalne, gdzie głównym interpretatorem przepisów był — jak wyraził się kiedyś Bolesław Prus w jednej z „Kronik tygodniowych" — strach przed utratą posady.

Może zabrzmi to paradoksalnie, ale polityka prasowa państw zaborczych, wrogich wszystkiemu, co polskie, miała ogromny wpływ na ukształtowanie się systemu kontroli publikacji i prasy po odzyskaniu niepodległości w roku 1918. Może wzięło się to stąd, że najpierw zabrakło czasu na ustanawianie praw, a potem urzędnikom (umocnionym na swych stanowiskach przez silny aparat biurokratyczny) po prostu odpowiadała nowelizacja tego, co już wymyślono wcześniej. Przypomnijmy, że nawet pierwszą Konstytucję uchwalono w okresie stanu wyjątkowego. Akt ten formułował ogólne przepisy dotyczące działalności prasowej. Nie zakreślono granicy swobody głoszenia poglądów i przekazywania informacji, odsyłając zainteresowanych do przepisów szczegółowych... dawnych państw zaborczych. Obowiązywały: niemiecka ustawa prasowa z roku 1874, niemiecki kodeks karny z 1877, austriacka ustawa prasowa z 1862 oraz ustawa karna z 1852, rosyjski kodeks karny z 1903. Z małymi przerwami — prowizorka taka przetrwała do roku 1938.

Po zamachu majowym w roku 1926 prezydent RP wydał rozporządzenie o „karach za rozpowszechnianie nieprawdziwych wiadomości oraz za zniewagę władz i ich przedstawicieli". Dnia 10 maja 1927 szef państwa parafował rozporządzenie o prawie prasowym i, związane z nim, rozporządzenie o rozpowszechnianiu nieprawdziwych wiadomości (co jest prawdziwe, a co nie — decydowała władza). Sprawa stanęła w Sejmie. Rząd, stosując różne wybiegi, przez blisko 30 miesięcy uniemożliwiał opublikowanie uchwały sejmowej, odrzucającej to rozporządzenie, i tym sposobem nadal utrzymywał je w mocy.

Najczęściej stosowaną sankcją była konfiskata nakładu. W latach 1926—35 „Robotnik", organ PPS-u, był konfiskowany 500 razy, a endecka „Gazeta Warszawska" — 260 razy. W styczniu 1928 roku, w czasie wyborów, dokonano 1250 konfiskat.

Różne ustawy prasowe przygotowano już w latach 1930, 1932, 1936. Dopiero jednak w listopadzie 1938 prezydent podpisał dekret prasowy, który tak został skomentowany na łamach (nie skonfiskowanego zapewne tylko przez przeoczenie) „Robotnika": *„To przykre, że dziś w Polsce trzeba utrzymywać prawomyślność polskich obywateli większymi karami, jak te, które wystarczyły obcemu rządowi dla zapewnienia prawomyślności polskich poddanych"*.

Każdy czas miał taką prasę i literaturę, na jaką zasłużył: niezdyscyplinowaną lub służebną, a nawet służalczą wobec władzy. Służalczość zaś zawsze obracała się najpierw przeciwko prasie, a potem — jej dysponentom. Wśród dokumentów z teki łomżyńskiego policmajstra swego rodzaju rewelację stanowią fragmenty księgi zapisów carskiej cenzury z lat 1903—1913. Niewielkie broszury nosiły tytuł (w wolnym tłumaczeniu) brzmiący następująco: „Alfabetyczny spis książek i broszur, na które nałożono areszt".

„Najwyższym zarządzeniem z 5 stycznia 1884 roku Minister Spraw Wewnętrznych otrzymał prawo wskazywać władzom miejscowym te utwory drukowane, które nie powinny trafić do bibliotek i czytelni publicznych. Na podstawie tego prawa, do chwili obecnej zakazane są 193 książki i broszury oraz 10 periodyków, które pojawiły się w różnych latach".

Skromny to był wykaz, jeśli zważyć, że obejmował teren całego cesarstwa rosyjskiego; wydawnictwa w kilku językach, jakimi posługiwała się mieszkająca tam ludność. Dopiero w roku 1906 wydano nową, 18-stronicową broszurkę, która głosiła: *„biorąc pod uwagę fakt [...] że obecnie, zgodnie z ukazaniem się w Najwyższych Manifestach nowych norm prawnych, religijnych i obywatelskich, nie ma odpowiednich podstaw i potrzeby państwowej, aby ograniczać kolportaż powyższych pozycji. Minister Spraw Wewnętrznych uznał za niezbędne zmienić »Indeks Alfabetyczny z 1903 roku« i za zasadne dopuścić w bibliotekach i czytelniach książki i periodyki w nim zawarte"*.

W nowym indeksie znalazły się: Lenina „Referat o Zjeździe Zjednoczeniowym Socjaldemokratycznej Partii Robotniczej Rosji" (list do robotników, Petersburg 1906), „Przegląd programu agrarnego partii robotniczej", „Rozwiązanie Dumy i zadania proletariatu"; Róży Luksemburg „Rewolucja rosyjska" (przemówienie) i — wydany w 10 tysiącach egzemplarzy — komentarz do programu SDKPiL „Czego chcemy"; czołowego teoretyka anarchizmu, Kropotkina „Anarchia. Jej filozofia i ideał" (przekład z francuskiego), „Anarchia i jej miejsce w socjalistycznej rewolucji"; Trockiego „Nasza rewolucja".

A oto pełen wykaz pozycji zabronionych, wydanych w języku polskim: Marceli Adalbentus „Kalendarz z dziejów stuletniej walki narodu polskiego o niepodległość" (Warszawa 1906, drukarnia Sikorskiego); „Boże, coś Polskę..." (wybór polskich pieśni narodowych z dodatkiem kalendarza na rok 1907, Warszawa 1906, drukarnia Sikorskiego); Adam Mickiewicz „Dziady", część III (Biblioteczka Narodowa, Warszawa 1907, druk firmy „Bracia Til"); Stanisława Pisarzewska „Zarys dziejów Polski od najdawniejszych do ostatnich czasów" (nakładem Gebethnera i Wolfa, Warszawa 1906, drukarnia Ksawera Rubieszewskiego i Karola Wrotnowskiego); „Pocztówki z rysunkami, wyrażającemi emblemy powstania polskiego 1863 roku" (Warszawa 1907, fotochemigraficzny zakład Wierzbickiego); Szczerbiec „Wobec chwili i przyszłości. List otwarty i szczery dla Rossyan i Polaków" (Warszawa 1906, drukarnia Kowalewskiego); Władymirow „Maria Spirydonowna z portretem i przedmową wszechrosyjskiego związku równouprawnienia kobiet"; „Wybór polskich pieśni narodowych" (Warszawa 1906, drukarnia Csernaka).

W lipcu 1906 gubernator łomżyński, powołując się na „ukaz" z kwietnia tego roku, przypominał naczelnikom powiatów o obowiązku *„dostarczania Komitetowi do spraw Wydawnictw wszelkich wydawnictw nieperiodycznych: [...] stosowanie tego w miastach, w których nie ma Komitetu, należy do obowiązków właściciela drukarni. Winien on okazać wydrukowane pozycje osobie, która w danej miejscowości czuwa nad organami wydawnictw periodycznych. Zarazem dla uniknięcia nieporozumień proszę wskazać właścicielom drukarni, gdzie znajduje się najbliższy taki komitet"*.

W indeksach z następnych lat rośnie liczba wydawnictw zakazanych. Same księgi zapisów są dziś swego rodzaju rarytasem bibliofilskim. Nakładca — Ministerstwo Spraw Wewnętrznych — adresował je do urzędników zatrudnionych w zarządach cenzury oraz do szerokiego ogółu obywateli. Książeczki te można było kupić w kantorze łomżyńskiego Policmajstra, w zależności od sumy arkuszy drukarskich, za 5—50 kopiejek. Stanowiły one znakomity materiał pomocniczy w pracy konfidenta czy kuratora szkolnego (był wówczas specjalny urząd do pilnowania prawomyślności młodych poddanych najjaśniejszego pana). Na ostatniej stronie okładki był wydrukowany program, z którego wynika, że autorzy zamierzyli podać w porządku alfabetycznym spis książek autorów znajdujących się na liście nielojalnych. Dwa razy w roku wydawano zestaw autorów, którzy „popełnili piórem czyny niegodne".

Istniała możliwość zaprenumerowania książeczki, z dostawą do domu, a także zamieszczenia w niej własnego ogłoszenia. Nie spotkaliśmy jednak innych ogłoszeń, poza tymi, które zamieścił sam wydawca.

W roku 1909, po zapłaceniu 40 kopiejek (tyle wówczas kosztował, liczący 104 stroniczki druku, indeks), można było się dowiedzieć, że zakazane były następujące książki i broszury w języku polskim: „Kalendarz z dziejów stuletniej walki narodu polskiego o niepodległość"; Zygmunta Bartkiewicza „Słabe serce" (Warszawa 1907, nakład i druk — Towarzystwo Akcyjne Olgelbranda i synów); Mieczysława Romanowskiego „Studium ideowe i literackie" (nakładem Księgarni Naukowej, Warszawa 1907)); „Boże, coś Polskę..." (wybór pieśni, Warszawa 1906); antologia Gorkiego, Karolenki i Tołstoja „Hańba XX wieku" (przełożył i wstępem opatrzył Józef Mondszejn, wydał Cymerman); Jastrzębca „Myśli niepolemiczne na tle stosunków polsko-litewskich" (Warszawa 1907); „Jezuita — religia. Kościół i państwo" (Wilno 1907, drukarnia Rotta); „Kalendarz na rok 1907" Edwarda Kolińskiego (Warszawa 1907); „Kalendarz na rok przestępny 1908" (staraniem Katolickiego Towarzystwa Dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu); Kazimierza Laskowskiego „Brauning" (Biblioteka Konstytucyjna nr 1, wydawca Ludwik Osiński, Warszawa 1907, drukarnia „Nowy Świat") oraz „Ostatnia szarża" (Warszawa 1907, drukarnia Ambroziewicza).

Na indeksie znaleźli się: D. Marski, autor „Szakali" (wydanej w Petersburgu przez Koło Młodzieży Socjalistycznej); Adam Mickiewicz za „Dziady", cz. III; J. M. Mieczysławski za „Pst! Pst!", „Kuplety", „Szewca", „Ja gwiżdżę", „Bilardziste" i „Bum ta dra tata" (wydawnictwo Adolfa Słonickiego, księgarnia Pomeranca).

TERESA POLECKA
MIKOŁAJ JEDNACZ
Repr. Ryszard Piechociński

dokumenty

WARUNKI PRENUMERATY: Prenumeratę przyjmują Oddziały RSW „Prasa—Książka—Ruch" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: do 25 listopada na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny; do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty: kwartalna 62 zł, półroczna 104 zł, roczna 208 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, organizacje społeczne zamawiają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa—Książka—Ruch", w których nie ma Oddziałów, w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201043-139-11; prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa—Książka—Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28 00-950 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201043-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy

PAMIĘTNIK NASTOLATKA

25 sierpnia 1978 r.

Brak, głód za dniami szacunku, za prawdziwą hierarchią wartości, wartości — naturalnie — niematerialnych. W przypadku materialności zeszyt ten w przeważającej części — jeśli nie całkowicie — stanowiłyby cyfry. Magia cyfr. Siła cyfr, a w parze z nimi wyobraźnia złączona daje chorobę, maniakalną obsesję. Więc co ma znaczenie, skoro światłem dnia przypadek rządzi? Lato już w odwrocie; idąc rano — chociaż jeszcze sierpień — poczułem chłód w dłoniach; skurczona jesień i znowu czas inny, inne myślenie, inny rytm. Jakże spójni jesteśmy z naturą. Ale dlaczego przyrodę-matkę tak szaleńczo mordujemy?

2 września 1978 r.

15.10 do Yumy — do miejsca, które może być koszmarem, ale może być i wyzwoleniem. Czyżby tak? Tak i nie. Jeśli nie potrafię — załóżmy — zbiec z tego pociągu lub też dostać się nim do Yumy, to wówczas jestem skończony. Wniosek: wiele różnych możliwości czyni wolnym i można mówić o wyborze.

Biedna ta nasza Polska. Słowo stanowiło i stanowi naszą siłę — nie mając pokrycia w rzeczywistości. Podczas dziejowych konfrontacji zaskoczeni jesteśmy, że to, co sądziliśmy, co nam mówiono, o czym nas przekonywano — nas, biernych i tylko zdanych na poddaństwo i posłuszeństwo — zupełnie jest nieprawdziwe. Tragedia więc staje się szokiem zwielokrotnionym, szokiemsnem, czymś nieprawdopodobnym, czymś absurdalnym. I dokąd potrafimy utrzymać się na powierzchni (do tej chwili jest to przypadkowe; jest miłą niespodzianką, która wszak w nieskończoność nie może trwać)? Aż żałosny i idiotyczny staje się fakt — urobionej i wpojonej, zrośniętej z nami — narodowej już mądrości naszej po szkodzie. Jednostki są odbiciem narodu i odwrotnie, relacje to dwustronne — co oczywiste. A więc model nasz narodowy (jeśli coś takiego mieści się w granicach słowa „model") ukształtował na podobieństwo swoje jednostkę. Doprawdy, jakiż musi być to naród, jeśli jednostki jego, będące w zasięgu poznania, są złe. I co jeszcze w tym kretyńskiego: że to, co stanowi clou życia przeciętnego Polaka, wypływa z masowego przekazu — jedynego, mającego wyłączność mówienia dobrze. I słuchając tego można ze śmiechu zesrać się. I nawet oficjalnie dawane jest do zrozumienia, że o tym to a o tym możemy mówić, o reszcie zaś nie, bo to podlega decyzji i jest wyłączną, chronioną własnością pewnych ludzi. Na całym froncie bezkrytyczność, wiadomości tendencyjne, dezinformacje. Zgoda totalna na głupotę.

Następna rzecz: już obecna zgoda na zło, akceptowanie go jako nieodłącznej rzeczy. Tak, zgoda. Tylko nie można tak tego określać, gdy zło nie stanowi z dobrem równowagi — jak powinno być — a jedynie jest dominantą życia. Ale czy może nie istnieć wyraziste zło i dobro — tylko coś „takie siakie". Co jest zdecydowanie gorsze od zła. Rzecz leży pośrodku z jej znakomitymi cechami: trywialnością, przeciętnością, głupotą, no i marazmem powszedności. Kim jestem? Czyżby buntownikiem, kontestatorem maniakalnym? Zapewne — nie. Powszechne niezadowolenie u większości, przykryte maską — by żyć. A może to daleko posunięta deprawacja: nie wiadomo, kto zacz i czego chce? Zdajemy się na ochłapy w całej rozciągłości i wszędzie, rzucane jak kość psu, i musimy za to wdzięcznie machać ogonem. Ku czemu to idzie? Jestem Polakiem i czy mam prawo powiedzieć to z dumą? Sam nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że skołowany w tym miejscu jestem. To, co dzieje się, nie wróży nic dobrego. A w końcu i mnie w głowie, maluczkiemu, huczy, wszak pogubiłem się już w tym, co jest prawdą, a co kłamstwem. Skłonny jestem uważać wszystko za kłamstwo. Takie po prostu są przesłanki: bo jeśli tajona jest istota, przemilczana, to w jakimś celu? Mówi się gęsto: praca każdego. Ale nie otumaniajmy się, na Boga, bo w tym układzie widać, że praca jest krzywdą, a ci, co o pracy najwięcej, to dekownicy, którzy nic dobrego nie robią, tylko mieszają. Jeśli już by nic nie robili, nie byłoby to najgorsze, ale właśnie wszystko robią, aby było źle. Istnieją jeszcze tacy, co dla zabawy z nami igrają, a my pozwalamy sobie na to, co już staje się kompromitacją. To burzy krew w człowieku każdym, który nie tylko nastawiony jest na biologiczne istnienie. Sądzę, że przykładów na to zbyt wiele, by rozdrabniać się nad szczegółami.

23 czerwca 1979 r.

Bardzo długo (lecz jest w tym konsekwencja nieudolności) nie było mnie w tym zeszycie. W euforii, w stanie, gdy nie jestem sobą, chwytam Cię, dzienniczku, jak słodycz, jak wytłumaczalne prawo do istnienia. Przeklęte słowa, jak przeklęty świat. Bezsilnym będąc, bez wiary w sens czegokolwiek, wracam, bo tylko tu jeszcze mogę wrócić. Wychodzi na to, że myślenie, ludzki atrybut, niesie katorgę niepodobną do cierpienia fizycznego, dajmy na to — psa.

„Tam do końca, a nawet i po końcu świata
Chciałbym we śnie, z którego nic mnie nie obudzi
Marzyć jakem przemarzył moje młode lata
Kochać świat, sprzyjać światu — z daleka od ludzi"
(Adam Mickiewicz)

24 marca 1980 r.

Gdziekolwiek wyciągnę życzliwą rękę, traktowane to jest jako słabość i nic poza tym. Bzdury nie kończące się, okryte maską, która zawsze szczerzy zęby.

Patos, emocja przy każdym nowym kroku w stronę budowania nas. Własna bezsilność pobrzmiewa uspokajająco, nie mogąc ziarnem strzelić. By dalej oszukiwać — mass media zmieniają formy, i to często. Cóż wszak zmiana formy, gdy program toporny?

„Zwycięzcy byli przewidujący: kazali nam się obuć jak oni i iść tym samym śladem." J. F. Cooper (chyba?).

25 marca 1980 r.

No cóż, plany, plany, i może być g... byle plan. Człowiek — doskonała maszyna do zatracania się. A czyż ja nie jestem normą, planem? Więc po co szumne słowa zaciemniają i tak już ciemny obraz? Gdy słyszę dzwonek, syrenę, gwizdek — w jakichkolwiek sytuacjach — zawsze to trąci w moim odczuciu zamachem na wolność człowieka, jest pociągnięciem za sznurek, jakby był pajacem — co jest do okazania.

27 marca 1980 r.

Wreszcie krok natury ku wiośnie. Odpuszcza chłód, rozkładają się śniegi, poddając się tchnieniom otuchy. Tak i w sercach odtajało. „Dzienniki" Kafki — poezja.

Cóż z tego, że w twarz rzucam prawdę, skoro spływa ona jak po pierzu gęsi? Pozostaje pusty śmiech płaczu, niby — śmiech przez konwulsje ust. Choroba wrzodowa żołądka, dwunastnicy (moja — niedawno) itd., leży w sferze zjawisk społeczno-psychicznych (pewien docent z tv). Choroby somatyczne, cierpienia, są więc następstwem stresów. Pytam się — komu mam zapłacić za tę chorobę, cierpienie, ataki? Czy usuwając wrzód, czy jego przyczynę?

Nawoływania o optymizm. Cóż poradzę, skoro organizm takich jak ja nie potrafi rodzić kleju obłudy.

Brak czasu wgłębiania się w pewne teksty ograbia mnie z perełek prawdy, tkwiącej w magmie, która warunkuje drukowalność. Żenuje mnie, gdy ktoś mówi o oryginalności, nowych formach itp. Wszak to już było — tylko należy rozejrzeć się dalej niż czubek własnego nosa i wówczas ta cała oryginalność okazuje się skrzywieniem, czymś koślawym, co było dawniej w postaci prawdziwej i czystej. Regres i degeneracja rodzaju ludzkiego (Pikulski). Jak więc można uważać, że w szambie znajdzie się diament? Stoją na brzegu małego miąsteczka i widzą zarówno pływających, jak i tonących, nie rozpoznając w nich siebie

Wiosna zaskoczyła! — grzmią w telewizji. Ach! Jak wiele tych zaskoczeń. Red. Woźniak z komentującymi — też jakby wiosenni. Reszta, tzn. treść — jak zawsze — bez zmian. Tu wiosny nie ma, tu czad jest jedyną porą roku; zionie nim okrąglutki rok, że nawet w pokoju — zdaje mi się — więdną kwiaty.

28 marca 1980 r.

Pisz tak, jakby słowa miały być twoimi ostatnimi słowami, jakbyś pisał testament. Pisz tak, jakbyś miał za chwilę umrzeć.

Według informacji znawców, wiosna opóźniła się o 2 tygodnie. Szkoda, że partia nie może uchwalić jej zdyscyplinowania.

Rozłożony jakiś jestem w strugach smogu zimowo-wiosennego. I nadal opornie sklejam podruzgotaną psychikę.

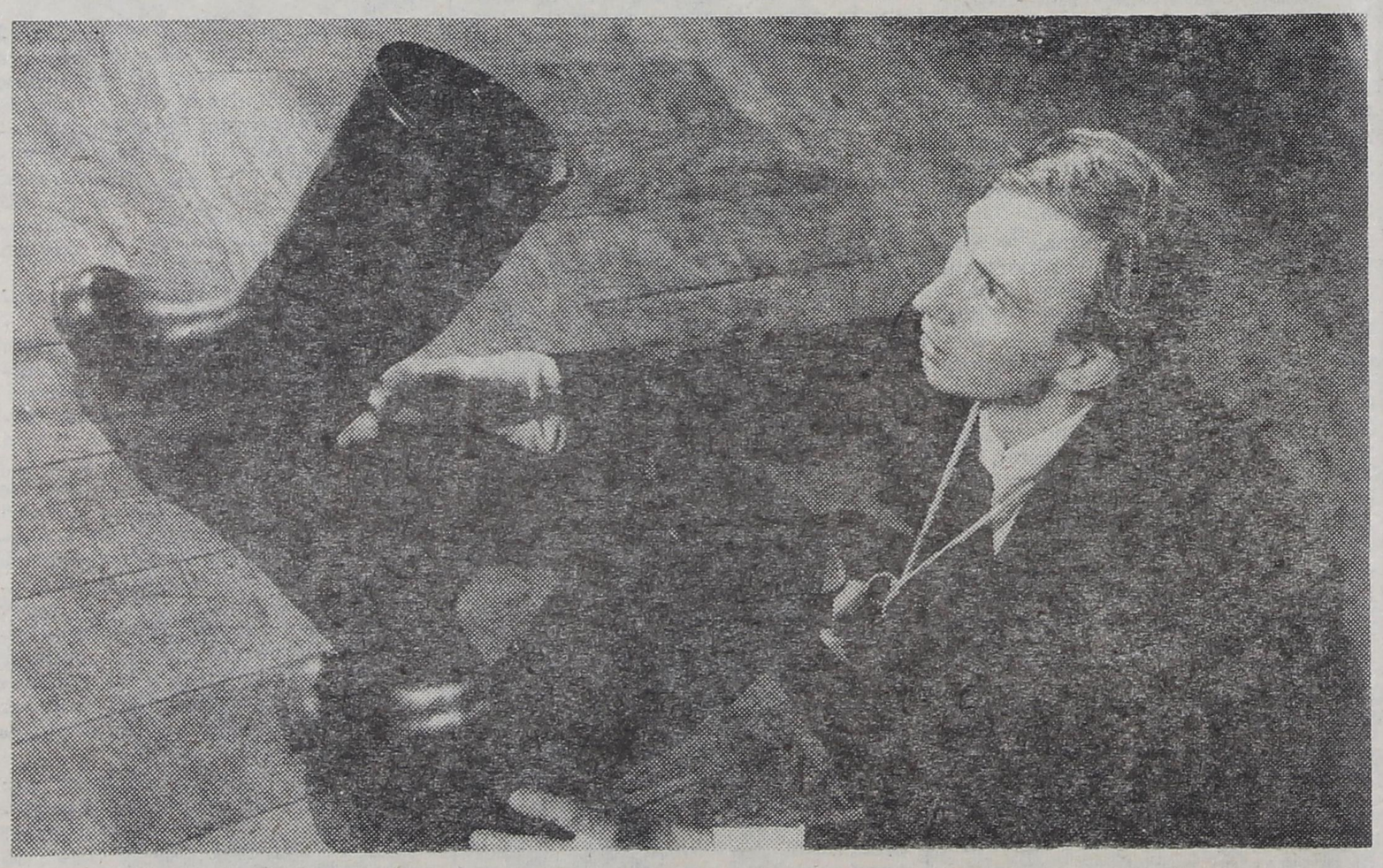
29 marca 1980 r.

Po części uświadomiłem sobie już ten bezmiar głupoty, to rozpoczwarzenie, tę wszowatość ludzką, gnidowatość. To powinno zaoszczędzić mi czasu na łowienie zwiastunów prawdy, honoru itp. Za wszystkim tym kryją się niecne, podłe interesy, całkiem nic z humanizmem nie mające wspólnego. No, cóż, nie za dużo argumentów potrzebuję do przekonania się. Źdźbła nadziei w człowieka były i będą, inaczej zaprzeczyłbym samemu sobie. Niezłomna wiara, że zawsze warto, jest bzdurną stratą czasu. Czy wstrząs w biednym alkoholiku, bez jego dobrej woli, zmieni coś na lepsze? Lecz co ja tu mówię? Śpiewaj pieśń miłości staremu i głuchemu — skoro nie słyszy, a wielka szkoda, bo przez to konają miliony.

1 kwietnia 1980 r.

„Reguły są niczym kule u nogi, przydatne dla chromego, przeszkadzające zdrowemu." (E. Young).

WIZERUNEK CHŁOPCA



SPRZED POLSKIEGO SIERPNIA 1980 ROKU

Czym jest klęska? Klęska to my. Sama istota, zaródź człowieka jest klęską. Wszystko inne, co poza nami, stanowi pozory i iluzję, by oddalić świadomość klęski. To nie jest przegrana ani upadek, lecz zrośnięta z nami, odwieczna klęska. Obłuda ubierająca inną obłudę jest wabiącym, skażonym bezkresem, prowadzącym do omamienia, do utonięcia.

„Widziałem Pana, płaszcz Chwały Go okrywał. A z takiej szedł winnicy, co rodzi grona gniewu." (J. Steinbeck).

(Dane o autorze do wiadomości redakcji)

Fot. CAF — Adam Hawałej

KONTAKTY

zwierciadło duszy

23.04.1981 TV 29.04.1981

CZWARTEK 23 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. II.
6.30. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
8.10. Przysposobienie obronne, kl. VIII i I lic.
9.00 Historia, kl. VI.
11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII.
12.50. „Syberia" — film oświatowy.
13.30. TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV.
14.00. TTR, RTSŚ — geografia, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Turniej Zastępowych.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw — Warszawa.
16.30. Czwartek TDC, m.in. „Mój świat" i „Był sobie człowiek".
17.30. Informator Turystyczny.
17.45 „Wojsko, nauka, zawód" — reportaż wojskowy.
18.15. Lista przebojów książkowych.
18.50. Dobranoc.
19.00. Sonda — „Równowaga".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Misja" (6).
21.40. Pegaz.
22.25. „Zapis autoryzowany" — program publicystyczny.
22.55. Dziennik Telewizyjny.
23.10. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00 Magazyn lotniczy.
10.30. Informator turystyczny.
10.45 Sonda.
11.15 „Uśmiech spod parasola".
16.30. Język rosyjski (27).
17.00. Język angielski dla zaawansowanych (2).
17.30. Język angielski (27).
18.00. Program morski.
18.30. „Szacunek dla chleba".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. NURT — język polski.
20.30. NURT — pedagogika.
21.00. 24 Godziny.
21.10. Kompozytorzy łódzcy w twórczości kameralnej.
21.45. Mistrzostwa Europy w zapasach.
22.15. „Bez recept" — „Co nam daje dziecko".
22.45. NURT — język polski.

PIĄTEK 24 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.00 TTR, RTSŚ — fizyka, sem. IV.
6.30. TTR, RTSŚ — geografia, sem. IV.
9.00. Geografia, kl. V.
9.55. „W krainie tysiąca jezior", kl. IV.
11.00. „Leśne ścieżki", kl. I—II.
11.55. Wychowanie obywatelskie, kl. VIII.
12.50. Geografia, kl. VIII.
13.30. TTR — uprawa roślin, sem. II.
14.00. TTR — uprawa roślin, sem. II.
14.00. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
15.15. Redakcja Szkolna zapowiada.
15.30. NURT: praca — technika.
16.00. Dziennik Telewizyjny
16.15. Obiektyw — Łódź.
16.30. „Kółko graniaste".
17.00. Magazyn motoryzacyjny.
17.15. „Świadkowie.
17.40. „Hrabia Gaston — Rycerz Pirenejów" (4).
18.35. „Lekarz radzi" — gruźlica.
18.50. Dobranoc.
19.00. Monitor Rządowy.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. Filmoteka Arcydzieł: „Pociągi pod specjalnym nadzorem" — film czechosłowacki w reż. Jifego Menzla.
21.50. Rolnicze rozmowy.
22.00. „Listy o gospodarce".
22.45. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
10.00. „Nieznani bohaterowie" (4).
10.50. „Ziemia ojców" (4) — „Tomek".
16.30. Język francuski (22).
17.00. Język rosyjski (27).
17.30. Język angielski dla zaawansowanych (2).
18.00. Kino TDC — „Sekrety kina".
18.30. Lidar — Młodzieżowy Magazyn Techniki.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Uśmiech spod parasola".
20.30. „Taaka ryba".
21.00. 24 Godziny.
21.25. Mistrzostwa Europy w zapasach.
21.55. Narodowa Armia Ludowa NRD.
22.25. „Nieznani bohaterowie" (4).

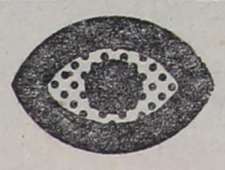
SOBOTA 25 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR — uprawa roślin, sem. II.
6.30. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
13.30. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
14.00. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. II.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. Sezam — książki dla dzieci.
17.00. „Gwiazdozbiór" — Maja Komorowska.
17.45. Publicystyka międzynaradowa.
18.00. Mistrzostwa Europy w zapasach.
18.50. „Przygody Bolka i Lolka".
19.00. Telewizja Młodych.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Zbuntowany księżyc" — angielski film fabularny.
21.55. „Jeden dzień w Polsce" — reportaż filmowy.
22.30. Dziennik Telewizyjny.
22.45. Festiwal Eurowizji.
PROGRAM II
16.30. Militaria, Obronność, Nowoczesność — „W pracowniach WAT".
17.00. STUDIO 2.
17.30. „Ziemia ojców" (4) — „Tomek".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. STUDIO 2.
21.00. „Niebezpieczny pościg" (4).
21.45. STUDIO 2.

NIEDZIELA 26 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.10. TTR — uprawa roślin, sem. IV.
6.40. TTR — mechanizacja rolnictwa, sem. IV.
7.10. TTR, RTSŚ — „Wiedza naszą szansą".
7.30. Alarm przeciwpożarowy trwa.
7.40. Nowoczesność w domu i zagrodzie.
8.10. Emerytury dla rolników.
8.20. „Od słowa do działania" — program Redakcji Rolnej.
8.35. „Telewizjada".
9.00. Teleranek m.in. „Tylko Kaśka".
10.30. Antena.
11.00. „Wielkie miasta świata" — Rzym".
12.00. Dziennik Telewizyjny.
12.15. „PGR bez mitów" — program Redakcji Rolnej.
12.45. „Myśli oświecone" — „Państwo a społeczeństwo w XVI w."
13.25. TYLKO W NIEDZIELĘ.
13.30. „Przygody Sindbada".
13.55. „Paleta" — telefurniej plastyczny.
14.30. Filmy Charlie Chaplina: „Psie życie", „Pielgrzym" i „Charlie żołnierzem".
16.30. „Rezerwaty bez granic" (3).
17.15. „Wołanie z nocy" — wspomnienie o najmłodszej poetce okupowanej Warszawy.
17.30. „Jan Jaromir Aleksiun" — reportaż filmowy.
18.00. „Ogród ziemskich rozkoszy" — impresja filmowa.
18.10. Godzina z Markiem Piwowskim.
19.05. Wieczorynka.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Wiersz dla Ciebie.
20.05. „Buddenbrookowie" (1) wg powieści Tomasza Manna.
21.05. Magia teatru muzycznego.
22.05. Sportowa Niedziela.
22.35. „Jaki naprawdę jestem" — Wojciech Młynarski.
23.10. Wiersz dla Ciebie.
PROGRAM II
9.30. „Dzieci Zamojszczyzny oskarżają" — program wojskowy.
10.00. „Misja".
10.20. Przeboje tygodnia.
12.20. „Dolina pełna dźwięków" — film dokumentalny.
13.15. Wielka gra.
14.00 Teatr Telewizji — Wojciech Bogusławski: „Henryk VI na łowach" w reż. Bogdana Baera.
15.20. Kwartet Jana Ptaszyna Wróblewskiego.
16.00. Popołudnie Fauny i Flory.
16.45. Sprawozdawczy Magazyn Sportowy.
18.00. Wspomnienie o profesorze Drzewieckim.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Telewizyjny music-hall.
21.00. Filmy Jerzego Kawalerowicza: „Pociąg".

PONIEDZIAŁK 27 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. II.
14.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. II.
15.30. NURT — pedagogika.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. Zwierzyniec.
17.00. „Czterej pancerni i pies" (14) — „Czerwona seria".
18.15. Impulsy.
18.50. „Bajka o jabłoni".
19.00. Echa stadionów.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Teatr telewizji — Ladislav Fuks: „Srebrne wesele" w reż. Kazimierza Karabasza.
20.50. Rolnicze rozmowy.
21.00. Program publicystyczny.
21.20. XYZ, cz. I.
22.15. XYZ, cz. II.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
PROGRAM II
16.35. Język niemiecki (28).
17.00. Język francuski (28).
17.30. Język rosyjski (28).
18.00. STUDIO BIS.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. STUDIO BIS.
21.50. 24 Godziny.
22.00. „Biała gorączka" — film społeczno-obyczajowy TVP w reż. Marka Wertmana.

WTOREK 28 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. II.
6.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. II.
9.00. Język polski, kl. V.
9.55. „Czerwone, żółte, zielone" — „Kółeczka nakazują".
12.50. Dla szkół średnich — „Portret matki".
13.30. TTR, RTSŚ — język polski, sem. IV.
14.00. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. IV.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. Telewizyjny Klub Seniora.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Dzień dobry w kręgu rodziny".
17.00. „Między nami jaskiniowcami".
17.20. Polska Kronika Filmowa.
17.30. Klinika Zdrowego Człowieka.
18.00. Telewizja Młodych.
18.50. Dobranoc — „Głuchy telefon".
19.00. Camerata.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.15. „Sól ziemi" (5).
21.25. Program publicystyczny.
21.55. „Zacznijmy od Mony Lizy".
22.25. Dziennik Telewizyjny.
22.40. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. „Sól ziemi" (5).
11.10. Klinika Zdrowego Człowieka.
11.40. „Zrodzone w płomieniach" — film dokumentalny.
16.35. Język angielski (28).
17.05. Język niemiecki (28).
17.30. Język francuski (28).
18.00. Kino Telewizyji Najmłodszych.
18.30. „Słowa za słową"
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. „Zrodzone w płomieniach" — film dokumentalny.
20.25. Wtorek Melomana.
21.25. 24 Godziny.
21.35. Wieczór Filmowy.

ŚRODA 29 KWIETNIA 1981 R.
PROGRAM I
6.00. TTR, RTSŚ — język polski, sem. IV.
6.30. TTR, RTSŚ — matematyka, sem. IV.
8.10. Chemia, kl. VIII.
9.55. Fizyka, kl. VII.
11.00. Historia, kl. VII.
13.30. TTR, RTSŚ — chemia, sem. II.
14.00. TTR, RTSŚ — biologia, sem. II.
14.30. Telewizja w sprawie miliardów.
15.30. NURT — język polski.
16.00. Dziennik Telewizyjny.
16.15. Obiektyw.
16.30. „Michałki".
17.10. Dom i My.
17.30. „Dwie strony medalu".
18.15. „Wernisaż w Biłgoraju".
18.50. Dobranoc — „Kapeluszowe miasteczko".
19.00. „W świecie dzikich zwierząt".
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Program publicystyczny.
21.00. „Kwietnik" — program poetycko-muzyczny.
21.25. Film fabularny.
22.45. Dziennik Telewizyjny.
23.00. Telewizja w sprawie miliardów.
PROGRAM II
10.00. Świat na małym ekranie.
11.30. „Dwie strony medalu".
16.35. „Język angielski dla zaawansowanych (3).
17.05. Język angielski (28).
17.35. Język niemiecki (28).
18.00. Teatr Wspomnień (1971) — Fiodor Dostojewski: „Marmieładow" w reż. Jana Świderskiego.
19.30. Dziennik Telewizyjny.
20.00. Świat na małym ekranie.
21.30. 24 Godziny.
21.40. Publicystyka międzynarodowa.



Łomża, kino „Październik": 23—24 IV — „Zamach stanu", prod. pol. (od lat 15); 25—26 IV — „Komisarz w spódnicy", prod. franc. (od lat 15); 27—30 IV — „Gangsterzy szos", prod. franc. (od lat 15).

Ciechanowiec, kino „Meteor": 23—24 IV — „Violette i Francois", prod. franc. (od lat 18); 25—26 IV — „Nickelodeon", prod. ang. (od lat 12); 28—29 IV — „Wciąż o miłości", prod. franc. (od lat 15).

Grajewo, kino „Relax": 23—24 IV — „Jak żyć", prod. pol. (od lat 15); 25—26 IV „Dubler", prod. franc. (od lat 12); 27—29 IV — „Policja przygląda się", prod. włosk. (od lat 15).

Jedwabne, kino „Oaza": 23 IV — „Bitwa o Midway", prod. USA (od lat 12); 25—26 IV — „Dick i Jane", prod. USA (od lat 15); 29—30 IV — „Ogień pod pokładem", prod. NRD (od lat 15).

Kolno, kino „Wrzos": 23—24 IV — „Prywatne piekło", prod. USA (od lat 15); 25—26 IV — „Dziedzictwo", prod. ang. (od lat 18); 27—29 IV „Rocky II", prod. USA (od lat 15).

Nowogród, kino „Ziemowit": 25—26 IV — „Ukochana żona", prod. włosk. (od lat 18); 28—29 IV — „Róg Brzeskiej i Capri", prod. pol. (od lat 15).

Stawiski, kino „Saturn": 23—24 IV — „Niespodziewana kariera", prod. bułg. (od lat 15); 25—26 IV — „Powrót Mechagodzilli", prod. jap. (od lat 12); 28—29 IV — „Pierwsza miłość", prod. włosk.-franc. (od lat 18).

Wysokie Mazowieckie, kino „Wars": 23—26 IV — „Glina czy łajdak", prod. franc. (od lat 18); 28—29 IV — „Pantalej", prod. bułg. (od lat 12).

Zambrów, kino „Kosmos": 23—25 IV — „Coma", prod. USA (od lat 18); 26—27 IV — „Śmierć z komputera", prod. franc. (od lat 15); 28—30 IV — „Superpotwór", prod. jap. (bez ograniczeń).

Kierownictwo kin zastrzega możliwość zmian programu.



Osiedlowe Dni Młodości — cykl imprez organizowanych w dniach 25—30 IV br. przez Spółdzielnię Mieszkaniową w Łomży, Wojewódzki Dom Kultury, ZHP, PTTK i TKKF. W programie: turniej piłki siatkowej na osiedlu Waryńskiego), 25 IV, godz. 16.00; turniej tenisa stołowego (w świetlicy Spółdzielni Mieszkaniowej, ul. Świerczewskiego 7 b i w sali gimnastycznej Szkoły Podstawowej nr 7 w Łomży), 26 IV, godz. 10.00; przegląd piosenki dziecięcej (na osiedlu XXV-lecia PRL), 26 IV, godz. 14.00; turniej drużyn do lat 12 w piłce nożnej (na osiedlu Jantar), 26 IV, godz. 15.00; wyścigi rowerowe oraz inne konkursy, gry i zabawy dla dzieci (na osiedlu XXV-lecia PRL), 26 IV, godz. 16.30; gry i zabawy, konkursy z nagrodami i zawody zręcznościowe na osiedlu Waryńskiego 27 IV o godz. 16.00, na osiedlu Jantar 28 IV o godz. 16.00, na osiedlu XXV-lecia PRL 29 IV o godz. 16.00; zawody rowerowe oraz wystawiana przez harcerzy bajka dla dzieci (na osiedlu Jantar), 30 IV, godz. 16.30.

Miejski Dom Kultury — Dom Środowisk Twórczych w Łomży: Dyskusyjny Klub Filmowy „To Tu" — film prod. włosk. „Zaćmienie" (w sali WDK), 24 IV, godz. 18.00; koncert zespołu „Porter Band" (w sali WDK), 27 IV, godz. 18.00 i 20.00 (bilety do nabycia w klubie „Pod Arkadami").

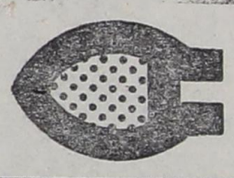
Miejsko-Gminny Dom Kultury w Grajewie: cykl pogadanek z zakresu prawa oraz aktualnych problemów społeczno-politycznych, codziennie w dniach 23-30 IV, godz. 11.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: środowiskowy konkurs recytatorski „O Nagrodę Misia Wierszownisia" (w klubokawiarni w Zarębach Kościelnych), 26 IV, godz. 12.00; prelekcja z okazji Miesiąca Pamięci Narodowej, 27 IV, godz. 14.00; koncert orkiestry dętej (w Zakładowym Domu Kultury „Relax"), 29 IV, godz. 18.00;

Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury w Rajgrodzie: wystawa prezentująca obrazująca miejsca pamięci narodowej z terenu gminy, czynna w dniach 23—27 IV, w godz. 8.00—20.00.

Gminny Ośrodek Kultury w Łomży z siedzibą w Pniewie: Wojewódzki Turniej Szachowy o Puchar Przechodni Dyrektora GOK-u, 26 IV, godz. 11.00.

Klub Turystyki Rowerowej „Tropiciele" przy Zarządzie Oddziału PTTK w Łomży zaprasza wszystkich miłośników turystyki kolarskiej do udziału w trzydniowym (1—3 V) rajdzie kolarskim do Wizny. Szczegółowych informacji udziela oraz zapisy przyjmuje Zarząd Oddziału PTTK w Łomży, ul. Giełczyńska 1.



Galeria Twórczości Plastycznej Dzieci, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 5 (Szkoła Podstawowa nr 3), czynna codziennie — oprócz niedziel i dni świątecznych — w godz. 8.00—18.00, w soboty w godz. 8.00—15.00: „Ludzie i zwierzęta" — pokonkursowa wystawa prac plastycznych dzieci z konkursu organizowanego przez Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu.

Salon Wystawowy BWA, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): malarstwo Zbigniewa Kruszewskiego — wystawa 36 obrazów artysty-plastyka z Łomży.



Muzeum Okręgowe w Łomży, ul. Krzywe Koło 1, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków, wtorków i dni poświątecznych): w środy i piątki w godz. 10.00—18.00, w czwartki i soboty w godz. 10.00—16.00, w niedziele w godz. 11.00—17.00. **Wystawy:** „Nabytki Muzeum w latach 1975—1980" — wystawa najciekawszych eksponatów z różnych dziedzin kultury materialnej; „Bursztyn z dorzecza Narwi środkowej" — wystawa ze zbiorów własnych prezentująca wydobywanie, obróbkę oraz wyroby z bursztynu.

Park Etnograficzny Północno-wschodniego Mazowsza im. Adama Chętnika w Nowogrodzie, czynny codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 9.00—16.00. **Wystawy: 1)** Wnętrza chat, kuźni, olejarni z wyposażeniem, izba tkaczki-artystki ludowej Anny Kordeckiej, śpichlerek z wystawą obrazującą przemiał i przechowywanie zbóż, stodołka ze starym, drewnianym kieratem i narzędziami bartnymi. **2)** W Dworku z Brzózek wystawa archeologiczna — „Pradzieje Nowogrodu". **3)** W chacie z Baranowa wystawa „Adam Chętnik — życie i działalność".

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Kluka w Ciechanowcu, czynne codziennie (z wyjątkiem poniedziałków i dni poświątecznych) w godz. 8.00—16.00, w niedziele i święta w godz 11.00—19.00. **Wystawy stałe: 1)** „Dzieje rolnictwa" (techniki uprawy, pasterstwo, hodowla, rzemiosło, tkactwo ludowe), **2)** Wystawa biograficzna Krzysztofa Kluka. **3)** Skansen mazowiecko-podlaski z ekspozycją wnętrz. **4)** Regionalna Izba Pamięci Narodowej. **Wystawa czasowa:** malarstwo Jana Kulikowskiego.

W razie potrzeby

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.
997 — Milicja Obywatelska
34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.
999 — Pogotowie Ratunkowe
998 — Straż Pożarna.
Pogotowie Chirurgiczne ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne cała dobę

KONKURS

Zarząd Wojewódzki ZSMP w Olsztynie, redakcja miesięcznika „Warmia i Mazury" oraz Wydział Kultury Urzędu Miejskiego w Olsztynie ogłaszają VI Ogólnopolski Konkurs Literacki „MAZURSKI KONIK". Konkurs ma charakter otwarty. Warunkiem udziału jest nadesłanie do 1 maja 1981 r. pięciu nie publikowanych i nie nagradzanych utworów poetyckich (w czterech egzemplarzach) na adres: Zarząd Wojewódzki ZSMP, Korespondencyjny Klub Młodych Pisarzy w Olsztynie, al. Zwycięstwa 32 z dopiskiem na kopercie: Konkurs poetycki. Obowiązują godła. Jury przyzna następujące nagrody i wyróżnienia: I nagroda — 5 tysięcy złotych, II nagroda — 3 tysiące złotych, III nagroda — 2 tysiące złotych oraz dwa wyróżnienia po 500 złotych. Ponadto nagrodą specjalną o wysokości 1 tysiąca złotych będzie premiowany utwór o tematyce: a) młodzieżowej, b) regionalnej.

Komitet Organizacyjny Akcji „Kopernik 508 — Olsztyn 81" ogłasza IV OGÓLNOPOLSKI KONKURS POETYCKI MIAST FEDERACJI KOPERNIKOWSKIEJ O LAUR „LIŚCIA AKANTU". Konkurs ma charakter otwarty. Warunkiem udziału jest nadesłanie do dnia 20 maja 1981 r. nie publikowanych i nie nagradzanych wierszy (w ilości 3—5, w trzech egzemplarzach maszynopisu, podpisanych godłem) na adres: Miejski i Międzyzwiązkowy Dom Kultury, ul. Zamkowa 1, 10-074 Olsztyn z dopiskiem na kopercie „IV Konkurs Poetycki o Liść Akantu". Przewidziane są nagrody o wartości: I — 5 tysięcy złotych, II — 3,5 tysiąca złotych, III — 2,5 tysiąca złotych oraz pięć wyróżnień wartości 1 tysiąca złotych każde. Rozstrzygnięcie konkursu i wręczenie nagród nastąpi podczas tegorocznych Dni Olsztyna.

Łomżyński tygodnik społeczny pismo PZPR **REDAGUJE ZESPÓŁ:** Stanisław Zagórski — redaktor naczelny, Stefania Henczelowa — zastępca redaktora naczelnego, Nina Omelczenko — sekretarz redakcji, Lech Gizelbach, Wiesław Kołowski, Juliusz Świredo, Danuta Wroniszewska, Aleksander Wroniszewski, Stanisław Zieliński. Redaktor techniczny — Zbigniew Henczel Korekta — Elżbieta Słupska **STALE WSPÓŁPRACUJĄ:** Andrzej Bartosz, Alicja Basta, Janusz Berner, Jerzy Bielecki, Irena Biernacka, Jacek Grün, Wiesław Janicki, Henryk Klin, Andrzej Kozlara, Kleneus Krzyżagorski Jan Kulka, Piotr Kuncewicz, Marek Kusiba, Tadeusz, Mocarski, Franciszek Piątkowski, Tomasz Piotrowski, Zbigniew Siedlecki, Andrzej Tchórzewski, Wojciech Woźniak. **KONCEPCJA GRAFICZNA** Marek Goebel **ADRES REDAKCJI:** ul. Sadowa 10 18-400 Łomża. Tel. 34-95, 40-22, telex — 853249. **WYDAWCA: RSW** „Prasa-Książka-Ruch", Białostockie Wydawnictwo Prasowe w Białymstoku. Druk Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 677/81 r. Nakład 25 100. A-2. PL ISSL 0208-6840 — Nr indeksu 36328. Ogłoszenia przyjmuje: Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. tyg. „Kontakty" 18-400 Łomża, ul. Sadowa 10, tel. 34-95 40-22 oraz wszystkie biura ogłoszeń RSW „Prasa-Książka-Ruch" na terenie całego kraju. Za treść ogłoszeń redakcja nie ponosi odpowiedzialności.

KONTAKTY

POKUSY
organ samorzutny pod redakcją Koziary Andrzeja

MINI-KABARET

PIEKIEŁKO

PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY

DIABELSKIE OBRACHUNKI

Cztery nasze znajome diabły, ob. ob. Dojlicki, Biebrzański, Bużański i Narwiański w dalszym ciągu toczą zażartą dyskusję na tematy raczej ogólne. Przed tygodniem doszło do tak zwanych incydentów, dzięki czemu poszły w ruch diabelskie łapy, co w konsekwencji doprowadziło do samookaleczenia się niektórych z nich.

DOJLICKI: Chciałbym wiedzieć, diabelskie nasienia, kto mnie tak szpetnie samookaleczył? Nos mam niczym bergamotowa gruszka, pod ślepiami śliwki mi urosły, innych części mojego organizmu okazywał nie będę, ze względu na możliwość obrażenia waszej moralności.

BIEBRZAŃSKI: Moją moralność obraża już sam wasz widok, piekielny diable! Popatrzcie lepiej na mnie. Czyż nie wyglądam jak ruina?

BUŻAŃSKI: Koledzy! Proponuję, żebyśmy powołali specjalną komisję, która będzie pracowała pod nadzorem. Komisja wszystko wyjaśni, podamy to do publicznej wiadomości i wtedy kogo trzeba pociągniemy za odpowiedzialność.

NARWIAŃSKI: Chętnie zostanę przewodniczącym, mam po temu gwałtowne predyspozycje, nie licząc innych drobiazgów.

BUŻAŃSKI: Wyrażam zgodę. Powiem nawet więcej. Mogę być szefem przewodniczącego, ponieważ jestem całkowicie czysty. Powiem jeszcze więcej. Mnie za nic nie można pociągnąć! W trakcie szamotaniny ktoś urwał mi odpowiedzialność. Mam pokazać?

DOJLICKI: Tfu! Nie interesuje mnie odrażający widok braku waszej odpowiedzialności. Interesuje mnie natomiast niewykonalność samej idei. Jak wy to sobie wyobrażacie? Było nas czterech, prawda? Czy zdajecie sobie sprawę, ile czasu trzeba poświęcić, żeby nas wszystkich przesłuchać?

BUŻAŃSKI: Przesłuchajmy się sami, zawsze będzie szybciej, a także uczciwiej i dokładniej.

NARWIAŃSKI: Słusznie, choć jednakowoż, tak czy owak, potrwa to co najmniej ze dwa lata.

BUŻAŃSKI: Skąd! Najwyżej trzy. Ja już siebie, można powiedzieć, przesłuchałem.

DOJLICKI: I właśnie dlatego będą nam potrzebne co najmniej ze cztery lata. Patrząc na to w sposób wysoce optymistyczny w dodatku. Nim napiszemy sprawozdania, wyjaśnienia, odwołania, skreślenia, przywidzenia, niedowidzenia...

NARWIAŃSKI: Fakt jest faktem i nie ma żadnej potrzeby, żeby go rozwijać dalej. Niech każdy zacznie pracować, a my tymczasem powinniśmy się zająć zupełnie innymi sprawami. Koledzy! Niepokoi mnie cisza, jaka ostatnio, niestety, zapanowała. Nic dobrego to nie wróży. Już Sybilla napisała, że jak będzie spokojnie i cicho, to nas w końcu weźmie licho. Mam drukowany rękopis tego dzieła, mogę wam pokazać.

BUŻAŃSKI: Wierzymy wam na słowo, kolego, aczkolwiek wasze słowo na ogół funta kłaków nie warte. Jak zresztą i moje, a także pozostałych.

BIEBRZAŃSKI: Jasne! Każdy z nas, jeśli nawet nie skłamie, to i tak nie powie prawdy. Albowiem prawda jest co najmniej względna albo i więcej nawet. Mamy niejakie doświadczenia w tej sprawie.

NARWIAŃSKI: Truizmów powtarzać nie trzeba. Pomyślmy lepiej, jak zapobiec ohydnej stagnacji, która w konsekwencji może nas doprowadzić do wstrętnej demokracji. Na samą myśl o tym resztki uwłosienia podnoszą mi się na mojej wrednej głowie.

DOJLICKI: Być albo nie być! Oto jest pytanie.

Diabły zaczynają się zastanawiać, jak być Innej alternatywy nie biorą w ogóle pod uwagę.

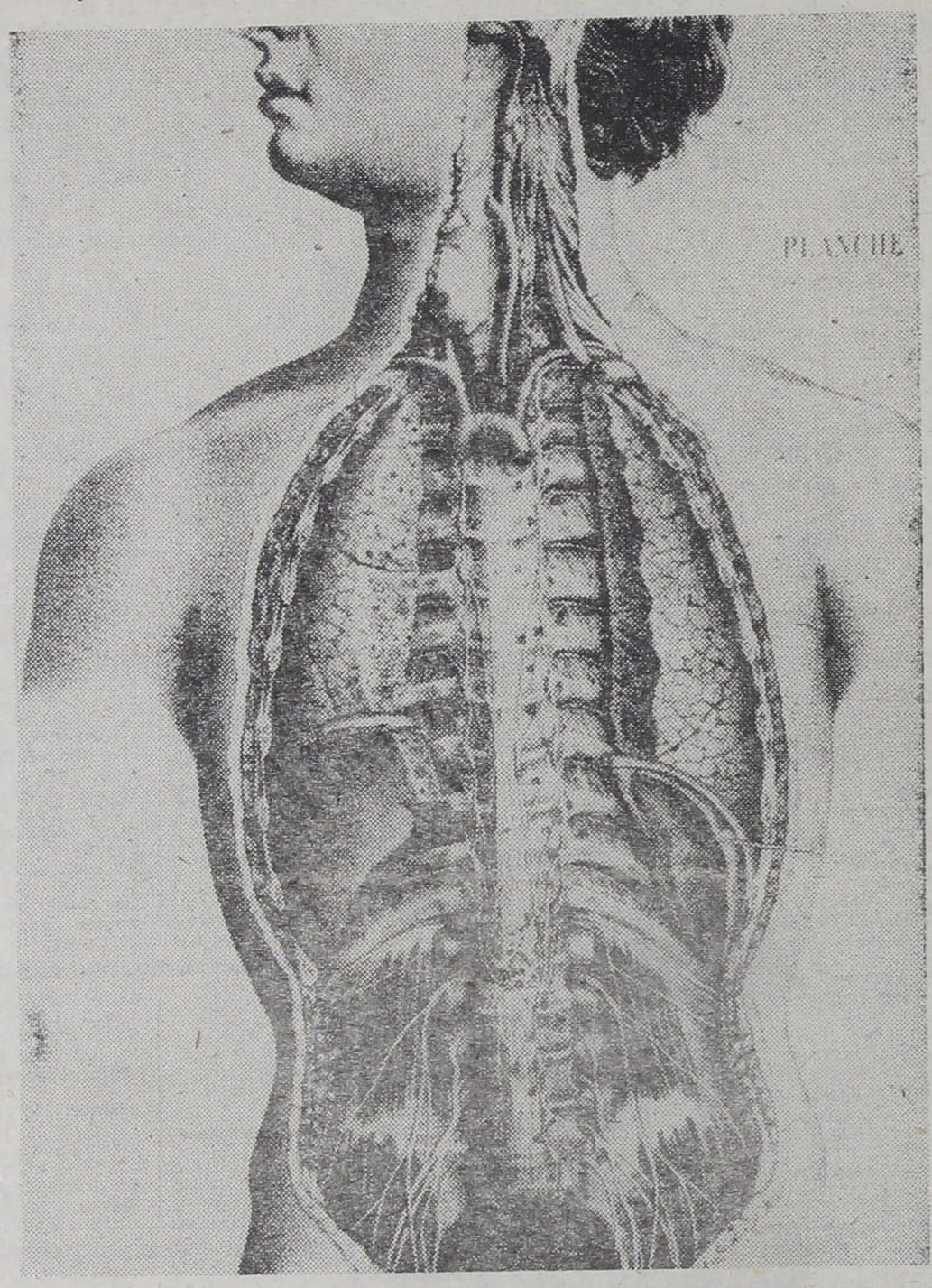
WIESŁAW TOMASZEWSKI

LUDOŻERCY

Wiara, że ludożercy naprawdę istnieli, a może nawet istnieją, jest zaskakująco powszechna i ma bardzo długą tradycję. Wywodzi się ona z najdawniejszych czasów, kiedy wśród prymitywnych społeczeństw panowało przekonanie, że mieszkańcy sąsiedniej doliny są kanibalami. Ale i we współczesnych rozwiniętych społeczeństwach ciągle jeszcze pokutuje pogląd, że ludożercy czają się gdzieś w mało zbadanych zakątkach Ziemi. Wiara w ludożerców jest ciągle żywa, mimo że coraz mniej jest obszarów, do których nie dotarła jeszcze cywilizacja.

Do najbardziej spektakularnych przykładów w tym temacie należą ludy: „Congo" z Afryki, które tuczyły swych jeńców wojennych, aby ugotować ich pulchne ciała; wodzowie Fijianów, którzy regularnie spożywali ludzkie mięso, używając do tego celu specjalnych widelców; Tupinamba z Ameryki Południowej — rozwinęli wyszukane zasady etykiety w podawaniu ludzkich kotletów; Fore z Nowej Gwinei — zjadali swych współplemieńców, zmarłych na chorobę neurologiczną (tą drogą przenosiła się ona na zdrowych uczestników tych uczt); wreszcie Aztekowie, którzy masowo brali udział w rytualnych orgiach kanibalistycznych.

Wiarygodność doniesień o ludożerstwie wyraźnie maleje, im bliżej naszych czasów i naszego kręgu kulturowego. Tak więc nie przyjmuje się już dziś poważnie „dowodów" na to, że w starożytnym Rzymie chrześcijanie używali krwi ludzkiej do jakichś tajemniczych obrzędów. Nikt także nie traktuje serio podobnych oskarżeń pod adresem Żydów. Tym niemniej nadal z całą powagą przyjmuje się założenie, że Afrykanie, Polinezyjczycy, mieszkańcy Nowej Gwinei czy Indianie Amerykańscy byli lub są jeszcze ludożercami. Założenie to traktuje się jako fakt, a nie jako subtelniejszą formę rasizmu.



Stosunkowo niedawno Aztekowie znowu znaleźli się w centrum zainteresowania — gdy pewien amerykański antropolog ogłosił, że udało mu się rozwiązać „zagadkę ofiary składanej przez Azteków". W swej odkrywczej pracy uczony ten stwierdził, że Aztekowie poświęcali swe ofiary bogom, a następnie zjadali je, wyrównując w ten sposób niedobory białka występujące w ich diecie. Jednocześnie praca ta była atakiem na innych antropologów, rzekomo ukrywających te bulwersujące fakty przed opinią publiczną. W podjętej dyskusji odpowiedziano konwencjonalnym argumentem, że Aztekowie byli ludożercami rytualnymi, tzn. zjadali kawałki ludzkiego mięsa z przyczyn religijnych. Dyskusja przeniosła się na łamy czasopism naukowych i, rzecz znamienna, nikt nie zakwestionował samego faktu. Potraktowano kanibalizm jako pewnik.

Do wyrobienia okropnej reputacji Azteków walnie przyczynili się dwaj zakonnicy hiszpańscy, którzy przybyli do Meksyku kilkadziesiąt lat po zdobyciu tego kraju przez Corteza. Zamierzali oni zrekonstruować tradycyjną kulturę Azteków z intencją zniszczenia wszelkich jej śladów i uczynienia z niedobitków Azteków prawdziwych chrześcijan. Jak na ironię — dokumenty pozostawione przez tych dwóch misjonarzy uznane zostały za wiarygodne źródło informacji o kulturowych zwyczajach Azteków przed podbojem Meksyku. Z przytaczanych w dokumencie wypowiedzi nawróconych Indian dowiadujemy się, że przed przyjęciem wiary chrześcijańskiej Aztekowie byli zatwardziałymi bałwochwalcami, sodomitami i kanibalami, a największych okropności dopuszczali się ich wodzowie i kapłani, którzy urządzali w świątyniach straszne orgie i brali udział w rozmaitych nieprawościach, ze spożywaniem ludzkiego mięsa włącznie.

W XIX wieku W. H. Prescott pisał o „eleganckich bankietach, na których podawano ludzkie mięso", a współczesne teksty antropologiczne opisują rzekomy obyczaj jako „podniecającą orgię". Wobec braku dokumentów autorzy takich tekstów puszczają wodze fantazji — dobierając scenerię i przebieg „orgii" według własnego uznania. Często jako dowód kanibalizmu Azteków przytacza się rycinę przedstawiającą gotowanie fragmentów ludzkiego ciała. Zapomina się tylko dodać, że rycina ta przedstawia straszliwy los Azteka, który dostał się w ręce wrogów.

PAMIĘTNIK ADAMA

NIEDZIELA. Ewa nigdy nie pracuje w niedzielę, lecz zmęczona odpoczywa i lubi, jak ta ryba po niej hasa. Wydaje wtedy śmieszne odgłosy, by ją zabawić, i udaje, że gryzie jej łapy, co pobudza to stworzenie do śmiechu. Nigdy dotąd nie widziałem śmiejącej się ryby, dlatego budzi to moje wątpliwości... Polubiłem niedzielę. Nadzorowanie przez cały tydzień wyczerpuje ciało. Powinno być więcej niedziel. Dawniej trudno było je znieść, lecz teraz są potrzebne.

ŚRODA. To nie ryba. Nie mogę jednak dojść do tego, co to jest. Gdy jest niezadowolone, wydaje dziwne diabelskie dźwięki, a gdy jest w dobrym humorze, mówi „gu-gu". Nie jest jednym z nas, gdyż nie chodzi; nie jest też ptakiem, bo nie lata, nie jest żabą, bo nie skacze, ani wężem, gdyż nie pełza; jestem również pewien, że nie jest rybą, choć nie mam okazji, by stwierdzić, czy umie pływać. Przeważnie leży na grzbiecie z podniesionymi nogami. Nie widziałem, by tak się zachowywało jakiekolwiek inne zwierzę. Nazwałem je zagadkową istotą, a ona okazała podziw dla tego słowa, nie rozumiejąc go jednak. Moim zdaniem, jest to albo coś niezwykle tajemniczego, albo jakiś gatunek owada. Jeśli umrze, rozbiorę je na kawałki, żeby zobaczyć, jak jest zbudowane. Żadna rzecz do tej pory nie zadziwiła mnie do tego stopnia.

(Cdn.)

MARK TWAIN



POSTULAT TATY:

WOLNE SABATY.

BESTIARIUSZ KIESZONKOWY

wg Heinza Modego

ALRAUNA, czyli krzyżówka człowieka i rośliny. W Średniowieczu korzeń tej człekorośliny uważany był za potężny środek magiczny i leczniczy. Dziś alraunę skutecznie wyparł z farmakologii chiński korzeń żeń-szeń. Reprodukowane alrauny to drzeworyty z XV-wiecznego „Hortus sanitatis".

